ECHO ZŁOTORYI

Luty 2024 • nr 2 (199)

Cena: tylko 5 zł

ISSN 1897-4023

TOWARZYSTWO MIŁOŚNIKÓW ZIEMI ZŁOTORYJSKIEJ

Miesięcznik Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej: Pielgrzymka - Świerzawa - Wojcieszów - Zagrodno - Złotoryja

Cogito, ergo sum

Siedzę właśnie przed białą kartką na monitorze swojego komputera i zastanawiam się, jakimi słowami ją zapełnić, by w rubryce na drugiej stronie Echa pojawił się tradycyjny wstępniak. Nie mam pojęcia, co jeszcze mogłabym napisać. Nie mam już złudzeń, wiem, że słowami świata nie naprawię, choćby były nie wiem jak mądre, dosadne i celne. Mogę dostarczyć jedynie odrobinę rozrywki, ale wiem, że wtedy słów nie może być za dużo, ale też nie za mało. Tak w sam raz, by nikogo nie zanudzić, ale jednocześnie nie zlekceważyć. Czuję, że powinnam napisać coś roztropnego, ale jednocześnie od serca, znaczy się z uczuciem. Czytelnik przecież może wychwycić fałsz, a wtedy stracę wiarygodność. Nie jest to łatwe zadanie, by raz na miesiąc wspiąć się na wyżyny swego intelektu i otworzyć kolejny numer garścią refleksji. A może jestem zbyt zadufana w sobie i mylnie przekonana, że ktoś czyta te teksty? Może gdybym wstawiła tu wstępniak będący zlepkiem przypadkowych słów wyciągniętych na chybił-trafił z kapelusza, nikt by się nie zorientował? Jednak nie będę ryzykować, a nuż choć jeden czytelnik tu zagląda. Dla niego wypada się postarać.

Istnieje pokusa, aby oddać to zadanie, zgodnie z obecnymi trendami, sztucznej inteligencji. A samej sobie w tym czasie pozwolić na relaksującą kąpiel, lampkę wina a może kilka stron ulubionego kryminału. Być może nikt by nie zauważył, że to nie ja piszę, tylko jakieś algorytmy, które siedzą gdzieś w nieznanej mi przestrzeni internetowego kosmosu. Tak, pokusa jest, ale jeszcze jej nie ulegnę, nie tym razem. Jeszcze chcę z godnością stawiać czoło wymaganiom, które sama sobie narzucam.

Nie wiem, czy nie jestem tylko żałosną Don Kichotką, która walczy z wyimaginowanym wrogiem, wszak inni uznali go za sprzymierzeńca, oswoili sztuczną inteligencję, zaprzęgli ją do niewolniczej pracy i odcinają kupony od jej kreatywności. A ja nadal zmuszam własne synapsy do wysiłku, próbując udowodnić bardziej sobie niż światu, że jeszcze jestem do czegoś zdolna i nie trzeba mnie zastępować ani wynosić na śmietnik historii. Jeszcze walczę, ale jestem na straconej pozycji. Moi uczniowie, kolejne pokolenie, od którego zależeć będą losy tego biednego i udręczonego świata, już oddali pole sztucznej inteligencji. Na razie są z siebie dumni, że przechytrzyli system. AI już za nich liczy, pisze, rysuje. A za tych, co jeszcze chcą czytać, czyta. Słucham w radiu, że profesorowie i recenzenci prac dyplomowych nie radzą sobie z weryfikacją ich autentyczności. Programy internetowe mające wykryć udział sztucznej inteligencji w wypowiedziach uczniów i studentów, nie nadążają za rzeczywistością. Programiści zaprzęgają sztuczną inteligencje do wykrywania śladów sztucznej inteligencji tam, gdzie nie powinno ze względów etycznych jej być. Walka między syntetycznymi mózgami trwa.

Jak tak zwany boomer patrzę na ten wyścig ze zdumieniem, mam mętlik w głowie, dziesiątki pytań o to, co się stanie, gdy oddamy się w pełni we władzę sztucznej myśli. Ale przede wszystkim kiełkuje we mnie lęk, co się stanie, gdy zabraknie nam prądu? Jak poradzimy sobie bez bazy danych o świecie, którą kryje sieć internetu? Jak napiszemy rozprawkę, przemówienie, pracę zaliczeniową, magisterską, jak obliczymy swoje zadłużenie w banku, raty kredytu czy upiększymy selfie? Skąd będziemy wiedzieć, gdzie leży Krym a gdzie Rzym? Ile metrów jest w kilometrze?

I kiedy już tak rozpędzam się w myślach, wróżąc upadek cywilizacji, wraz z wyciągnięciem wtyczki z kontaktu, przypominam sobie, że przynajmniej moje pokolenie, wychowane bez googla, za to na wystanych w kolejkach encyklopediach i słownikach, ma jeszcze szansę na ocalenie. Cogito, ergo sum – jak słusznie powiedział filozof.

Iwona Pawłowska

Łowcy skarbów

Kolekcjoner, zbieracz staroci - Jan Smolarczyk już wiele lat temu był bohaterem artykułu w „Echu”. Jednak od tego czasu jego zbiory nie tylko powiększyły się pod względem atrakcyjności czy też metrażu, jaki zajmują, ale również wyszły z jego magazynu, by cieszyć oczy innych ludzi niż on sam czy jego rodzina.

Niedawno w holu ZOKu otwarto wystawę plastikowych figurek zbieranych przez Jaśka, a jeszcze wcześniej w TV4 można było oglądać eksponaty Janka i jego żony Martyny wystawiane przez nich na licytacji w programie „Łowcy skarbów. Kto da więcej?” O tym wszystkim, a szczególnie o przygodzie przed kamerami opowiadają wspólnie w rozmowie z Iwoną Pawłowską.

Od dawna kolekcjonujesz tak zwane starocie?

Jan Smolarczyk: Po liceum zacząłem zbierać zegarki, znalazłem u babci w szufladzie, doprowadziłem je do porządku i tak to się zaczęło. W konsekwencji uzbierałem kilka tysięcy zegarków**.**

Gdzie to wszystko trzymasz?

Tutaj w mieszkaniu, na górze, w piwnicy…

Na zegarkach nie poprzestałeś.

Nie potem weszła wszechstronność. Zacząłem szukać staroci na rynkach w Legnicy, w Złotoryi, po serwisach internetowych.

Co Cię pociąga w starociach?

Chyba to, że można za ich sprawą dotknąć historii i pozyskiwać wiedzę na ich temat, między innymi, jakie znaczenie miał dany przedmiot na konkretnym etapie historycznym, jak wiele jest takich egzemplarzy, jaka jest jego wartość materialna.

Żeby zajmować się kolekcjonowaniem i sprzedażą przedmiotów historycznych, liczą się wiedza, cierpliwość, czas na wyszukiwanie ciekawych egzemplarzy i zdolność do ich pomieszczenia ☺ Ile przestrzeni zajmuje Twoja kolekcja?

Myślę, że około 50 m2. Trzymam to w naszym domu, ale też i u rodziców. W garażu. Dużo rzeczy jest też w użytku albo gdzieś są wystawione.

Martyna Smolarczyk: Kiedy poznałam Jasia, mówił, że trzyma to wszystko na „czarną godzinę” i nie chciał się tych przedmiotów wyzbywać. Dla niego było nie do przyjęcia, żeby sprzedać coś z tej kolekcji innemu amatorowi staroci. Dopiero program „Łowcy skarbów” zmienił jego nastawienie.

J. S: Większość kolekcji mam jeszcze nieskończonych, bo czasem nie da się wyszukać w danej dziedzinie wszystkich przedmiotów. Taki jest zasadniczo charakter moich zbiorów, ale jakbym skończył, to wtedy nie miałbym celu. Tak czasem jest, jeśli kolekcjoner zbierze wszystko, to pozbawiony celu dalszego nabywania, pozbywa się wszystkiego, co ma.

Jakie tematy w kolekcjonowaniu staroci Cię interesują?

J. S.: Wyszukuję sobie tematy. Bardziej interesują mnie rzeczy nietypowe.

Czyli na przykład co?

J.S.: Na przykład zbieram gumowe Godzille. Z nimi to było tak, że na początku miałem jedną, zgłosiłem do „Łowców skarbów”, przedmiot ich zainteresował, więc dołożyłem kilka, żeby tamta Godzilla nie była sama. A teram mam ich około 40. I one właśnie też będą poza innymi figurkami na wystawie „Plastikowe dzieciństwo z gumowymi wspomnieniami”.

M.S.: To nie jest pierwsza wystawa Janka. Miał ich kilka na różne tematy, ale ta jest z największym rozmachem ze względu na ilość eksponatów.

Wróćmy do wspomnianego programu. To on zmotywował Janka do puszczenia w świat części swojej kolekcji. Jak to się stało?

M.S.: W sumie to ja Jankowi odpowiedziałam o programie, wyszukałam informacji o nim w social mediach, a nadmienię, że Janek nie porusza się w tej przestrzeni, do tej pory nie kupił sobie smartfona ☺. Na początku Janek był sceptycznie nastwiony do mojego pomysłu, by się zgłosić ze swoją kolekcją. Stopowało go chyba to, że będzie musiał się z jakimiś przedmiotami rozstać. Ale jak pojechaliśmy do programu, zobaczyliśmy, jaka jest tam atmosfera, to zmieniło się nastawienia Janka.

Ile razy gościliście w „Łowcach…”?

J.S.: Najwięcej ze wszystkich występujących, cztery.

M.S.: I teraz będziemy znowu. A zaczęło się od tego, że najpierw do programu zgłoszony był tylko Jasiu z pięcioma przedmiotami. Zwykle producenci wybierają na podstawie zdjęcia jeden, najbardziej atrakcyjny, ale tym razem spodobało im się więcej, więc zadzwonili z pytaniem, czy ktoś oprócz męża nie mógłby wystąpić z tym drugim. I takim sposobem i ja się znalazłam w programie.

Poza atrakcyjnym starociem wystawianym na licytacje w programie liczy się chyba też osobowość sprzedającego.

J.S.: Oczywiście. Producenci lubią, jak za zaskakującym przedmiotem stoi niebanalny właściciel. To program telewizyjny, więc

Łowcy skarbów: Ludmiła Mitręga

Łowcy skarbów: Ludmiła Mitręga

Łowcy skarbów: Ludmiła Mitręga

musi być atrakcyjnie.

Mówicie o elemencie zaskoczenia, jeśli chodzi o przedmiot wystawiany na licytację. Wyjaśnijcie mi, czym kolekcjoner może zaskoczyć właścicieli galerii i sklepów ze starociami?

J.S.: Na przykład do jednego programu przywieźliśmy stare marionetki, ostatnio – jak wspomniałem – Godzille. Czyli coś nieoczywistego, mniej spotykanego.

Jak wyglądają kulisy programu?

J.S.: Jedzie się pod Warszawę do pałacu Ojrzanów. Tam przysługuje uczestnikowi jeden nocleg, przed lub po nagraniu. Polecam wszystkim i ten pałac i udział w programie. Realizatorzy dbają o komfort uczestników, wręcz dopieszczają nas.

M.S.: O tak, ostatnio, kiedy marzłam w lekkiej sukience, od razu za kulisami dano mi koc, żebym się nie przeziębiła. Dodam, że ku naszemu zaskoczeniu wszystko podczas nagrania wygląda tak, jak potem w programie, nie ma reżyserki, narzucania jakiegoś zachowania. I prawdą jest to, co pada w programie, że licytujący nie znają prawdziwej wartości przedmiotu, nie mogą jej nigdzie sprawdzić przed zakupem. Mają na ocenę danej rzeczy pięć minut, kiedy to ją oglądają dokładnie pod naszą nieobecność. Potem my wchodzimy, jest kilka pytań, na które odpowiadamy i zaczyna się licytacja. Wcześniej jeszcze mamy spotkanie z ekspertem, które też jest nagrywane i podczas tej rozmowy dowiadujemy się, jak fachowiec ocenia to, co chcemy sprzedać.

Łowcy skarbów: Ludmiła Mitręga

Czasem ekspert lub sam sprzedający wyceniają przedmiot na wyższą kwotę, niż później oferują kupujący. Niektórzy uczestnicy nie sprzedają poniżej ustalonej przez siebie wartości. A wy?

J.S.: My ten udział w programie traktujemy w formie rozrywki. Chcemy zrobić jak największe show, bo to o to w TV chodzi i realizatorzy też na to liczą. Dlatego nie spinamy się i nie liczymy na zarobek. Mnie najbardziej ciekawi, jak widzę swoje rzeczy, które leżały u mnie 10-15 lat, dłubałem przy nich, a potem oglądam je w telewizji.

M.S.: Poza tym i tak nie jesteśmy stratni, bo za udział w programie dostajemy zwrot kosztów podróży, czyli gażę i mamy zakwaterowanie.

Stajecie przed ludźmi, którzy są fachowcami w dziedzinie handlu antykami. Jest trema?

M.S.: Niektórzy też kiedyś byli na naszym miejscu. Tak zaczynali swoją karierę z programem.

J.S.: Ja w takiej sytuacji traktuję to wszystko jak wyzwanie i uczę się pokonywać swoje bariery, lęki, doskonalę się.

M.S.: Ale trema jest. Niewielka.

Jak stary musi być przedmiot, aby was zainteresował pod kątem kolekcjonerskim? Bo ze zdziwieniem obserwuję, rzeczy, które jeszcze niedawno stanowiły wyposażenie mojego mieszkania, sprzedawane są w „Łowcach skarbów" jako starocie.

M.S.: Musi być co najmniej sprzed 20 lat. Czyli tak naprawdę przedmioty z naszego dzieciństwa już są starociami☺. Ostatnio, przed Bożym Narodzeniem na forach internetowych popularnością cieszyły się bombki choinkowe z lat 90. i początku 2000 roku.

Czy kolekcjonowanie uzależnia?

J.S.: Nie, raczej pasja, chociaż pasja bywa nałogiem.

M.S: A ja myślę, że po części jest to uzależnienie, bo Janek wstając rano, myśli, żeby jak najszybciej być na targu.

J.S: To po prostu rutyna. Jak tylko mogę, idę na rynek złotoryjski, który de facto dostarcza dużo przedmiotów do mojej kolekcji.

Nasze złotoryjskie targowisko?

J.S.: Tak, to jest główne pole moich zakupów. Tu przyjeżdżają ludzie z rupieciami z Niemiec, a to dość atrakcyjnie przedmioty dla kolekcjonerów.

Myślałam, że raczej targi staroci w Legnicy, Jeleniej Górze, Bolesławcu są bardziej atrakcyjne dla zbieraczy.

J.S.: Tam też są ciekawe przedmioty, ale jest dość drogo. Zakupy tam nie dają takiego zadowolenia. Tu w Złotoryi mam mniejszą konkurencję, jeśli chodzi o nabywców, a poza tym znam od 20 lat ludzi, którzy tu przyjeżdżają, oni też mnie znają i trzymają dla mnie rzeczy. To już jest taka zażyłość, że wolą sprzedać mi coś za 20 złotych niż komuś innemu za 50. Jestem dobrym klientem. Kupuję najwięcej. Poza mną jest jeszcze kilku kolekcjonerów, którzy się tam zaopatrują, ale ja z nich mam największy metraż do przechowywania tych rzeczy ☺.

Jedne z bardziej oryginalnych przedmiotów w kolekcji

Jak się nie mieszczą, to puszczasz w obieg?

J.S.: Zgodnie z przepisami nie szybciej niż po pół roku od kupienia, ale tym już zajmuje się Martyna. Ona prowadzi profile w mediach społecznościowych i tam wystawia przedmioty.

M.S.: Tak, ja zajmuję się prowadzeniem instagrama i fejsbukiem. Ale najwięcej przedmiotów schodzi na typowych platformach handlowych, gdzie można kupić/sprzedać przedmioty „z drugiej ręki", na internetowych forach tematycznych.

Domyślam się, że kupione na targu starocie poddajecie pewnemu liftingowi.

M.S.: Kiedy Janek przynosi te rzeczy, to są brudne, zakurzone, wymagają podmalowania. Czasem zastanawiam się, dlaczego on ten przedmiot kupił, bo ja nie zwróciłabym na niego uwagi

J.S.: Tak, to robię sam, potrafię doprowadzać te przedmioty do stanu, w jakim powinny się znajdować. Tu trzeba znać się na plastiku, metalu, szkle. Nie raz trzeba coś dorobić, bo brakuje lub jest uszkodzone.

Jak Ty się tego nauczyłeś?

J.S.: Sam. Przez tyle lat się nauczyłem.

M.S.: Jasiek kocha to robić. Na pewno woli dłubać przy starociach nawet kilka godzin dziennie, niż pomagać w domu ☺. Ja na co dzień prowadzę dom i nie mam takich wyborów ;)

Zdradźcie mi, jaki macie najbardziej oryginalny przedmiot w swojej kolekcji?

J.S.: Chyba wziernik ginekologiczny sprzed 50 lat. Albo wzorniki protez dentystycznych. Zależy, co dla kogo jest oryginalne, bo mamy też stare wibratory ☺.

A co jest najcenniejsze?

J.S.: Trudno powiedzieć. Chyba zegarki. Mamy takie radzieckie z II wojny światowej.

Jeszcze „na chodzie"?

M.S.: Tak, wszystkie rzeczy staramy się doprowadzać do takiego stanu, by były jeszcze do użytku. Kiedyś, gdy pewnej pani sprzedaliśmy talerzyki, dostaliśmy od niej zdjęcie, z tymi talerzykami, na których serwowała ciasto. Bardzo to cieszy, że dajemy drugie życie starociom.

Liczę na to, że zobaczę Was w kolejnych odcinkach „Łowców skarbów", a jeszcze bardziej na kolejną wystawę, szczególnie tych oryginalnych zbiorów.

Z Martyną i Janem Smolarczykami rozmawiała Iwona Pawłowska

Wybory w łoku

Do kolejnej edycji wyborów Człowieka Ziemi Złotoryjskiej zgłoszono w tym roku 21 osób. Kandydatami do tytułu zostali:

Dominik Brzostek
Aleksander Borys
Waldemar Chabior
Zenon Durachta
Magdalena Figa
Gabriela i Karol Forgielowie
Mariusz Garbera
Piotr i Paweł Horbacz
Katarzyna Iwińska, Katarzyna Sielicka
Łucja Marchaj - Miller
Zbigniew Mosoń
Andrzej Kocyła
Paweł Kulig
Maciej Leszkowicz
Wacław Patalas
Joanna Piechowicz, Dorota Bocheńska
Maja Siwik
ś.p. Bogdan Zając

Na wniosek Katarzyny Iwińskiej, Katarzyny Sielickiej i Pawła Kuliga ich kandydatury nie były brane pod uwagę podczas wyborów CZZ 2023.

8 lutego Kapituła wyborów Człowieka Ziemi Złotoryjskiej w składzie: Iwona Pawłowska – przewodnicząca, Agnieszka Młyńczak, Roman Gorzkowski, Beata Jańta, Jarosław Jańta, Andrzej Kowalski, Wioleta Michalczyk, Jacek Kramarz, Zbigniew Soja, Kazimiera Tuchowska, Andrzej Wojciechowski spośród zgłoszonych kandydatów wyłoniła podczas jawnego głosowania tak zwaną Wielka Piątkę, czyli finalistów konkursu.

Do Wielkiej Piątki weszli sami panowie: Aleksander Borys, Zenon Durachta, Mariusz Garbera, Zbigniew Mosoń, Wacław Patalas.

22 lutego z Wielkiej Piątki został wybrany Człowiek Ziemi Złotoryjskiej 2023.

Nazwisko laureata zostanie ogłoszone podczas uroczystej Gali 20 marca o godzinie 17.00 w sali widowiskowej Złotoryjskiego Ośrodka Kultury. Już teraz zapraszamy wszystkich naszych czytelników na tę uroczystość.

Przewodnicząca Kapituły
Iwona Pawłowska

To miejsce ukochałam najbardziej

Wywiad z Agnieszką Młyńczak i jej córką Magdaleną Maruck ukazał się w czasopiśmie „Schlesischer Gottesfreund", luty 2024, str.5. Jest to organ Wspólnoty Ewangelickich Ślązaków, zrzeszającej miłośników kultury i historii Dolnego Śląska w Niemczech (głównie ewangelików).

Wywiad przeprowadził ks. Martin Herche, emerytowany superintendent generalny Cottbus-Görlitz.

W tym numerze prezentujemy poruszający tekst o Dietrichu Sanderze. Pani, droga Agnieszko Młyńczak, towarzyszyła Dietrichowi Sanderowi podczas odwiedzin jego małej ojczyzny.

Tak, to prawda, w lipcu 2023 roku miałam przyjemność towarzyszyć panu Dietrichowi Sanderowi podczas odwiedzin Złotoryi/Goldberg, jego rodzinnego miasta. Pan Sander okazał się sympatycznym starszym panem, który chętnie dzielił się swoimi wspomnieniami. Ponieważ jestem dziennikarką lokalnego miesięcznika „Echo Złotoryi", zaproponowałam, że przeprowadzę z nim wywiad do naszego czasopisma. Zgodził się bez wahania.

Zaprosiłam pana Sandera wraz z jego tłumaczką, Ritą Ludwikiewicz, do mojego domu. Przy kawie, ciastkach i winie przez kilka godzin słuchałyśmy opowieści o przeżyciach ośmioletniego wówczas Dietricha, gdy dobiegała końca druga wojna światowa. Pamiętam, jak w pewnym momencie w oczach Rity podczas tłumaczenia pokazały się łzy, tak wstrząsające było to, o czym się dowiadywała. Po chwili obie płakałyśmy i szlochałyśmy, dając sobie nawzajem chusteczki do otarcia łez. Pan Dietrich Sander patrzył ze zdziwieniem na naszą reakcję, jakby nie wierzył, że nad losami jego i jego rodziny mogą płakać zupełnie obce osoby*.

Po wywiadzie poszliśmy we trójkę na spacer po Złotoryi, a pan Sander twierdził, że w zasadzie nic się tu nie zmieniło. Dzięki temu miasto nie straciło swojego charakteru i bardzo dobrze! Oprowadzałam swoich gości po zadbanych placach, ulicach i zaułkach, z dumą pokazywałam najpiękniejsze miejsca mojego/naszego miasta.

Na koniec tego **magicznego dnia,** według moich gości, żegnaliśmy się jak przyjaciele, wymieniając serdeczne uściski.

Również dla pani i dla córki Magdaleny Złotoryja, kiedyś Goldberg, jest małą ojczyzną. Jakie wspomnienia ma pani z dzieciństwa w Złotoryi? Co wspomina pani szczególnie chętnie?

Złotoryja nie jest moim rodzinnym miastem. Przyjechałam tu w latach siedemdziesiątych XX wieku, miałam wtedy 21 lat. Tu zaczęłam pracować, tutaj poznałam mojego męża i wyszłam za mąż, tutaj urządzałam nasze mieszkanie, tutaj urodziła się moja ukochana córka Magdalena. Później, po latach, żartowaliśmy, że z naszej rodziny tylko córka i mąż są prawdziwymi Ślązakami, bowiem oni oboje urodzili się na Dolnym Śląsku, a ja daleko stąd, na Polesiu, pod granicą polsko-białoruską. Mimo tego upodobałam sobie nowe miejsce zamieszkania, a zwłaszcza Karkonosze. Gdy je zobaczyłam po raz pierwszy, ich majestatyczne i surowe piękno, zakochałam się w nich gwałtowanie i bez pamięci. Nie zliczę, ile kilometrów przewędrowałam po tych górach o różnych porach roku. Moja miłość do Karkonoszy trwa do dzisiaj i gdy tylko pogoda na to pozwala, wędruję po cudownych górskich szlakach.

Jeśli chodzi o samo miasto, w którym przyszło mi żyć, to na samym początku ze zdziwieniem patrzyłam na jego architekturę tak różną od tej, jaką mają miasta na wschodzie Polski, skąd pochodzę. Z czasem, gdy poznawałam miasto i jego historię, zaczęłam się zachwycać zabytkami i miejscami. Mój zachwyt nad Złotoryją trwa do dzisiaj. Nie wyobrażam sobie, żebym musiała kiedykolwiek stąd wyjeżdżać. Teraz to jest moje miejsce na ziemi, mój dom, moja mała ojczyzna.

A o czym myśli pani, droga Magdaleno, kiedy wraca pani myślami do dzieciństwa i młodości w Złotoryi?

Moje dzieciństwo to beztroskie zabawy w moim dziecięcym raju – tam, gdzie teraz mieszka moja mama. Aleja Miła, kiedyś Nordpromenade, to oaza w środku starego miasta. Dla małej Madzi była ona jak park z pięknymi domami (wille z początku XX wieku) i starymi drzewami (niektóre z nich mają aż trzysta lat). Jako że byłam jedynaczką, bawiłam się głównie sama, ale nie przeszkadzało mi to – wspinałam się na mniejsze drzewa rosnące za naszym domem, na obszarze, który nazywałam „małym parkiem", w pobliżu był też plac zabaw z dwoma drzewami, które idealnie nadawały się do zabawy w dom. Okolica obfitowała w pagórki, więc w zimie, jeśli akurat leżał śnieg, miałam pięć minut drogi do trzech różnych torów saneczkowych. Wspinanie się na drzewa, zabawa, jazda na rowerze, wszystko to wśród zieleni – wszystko to mogłam robić bez rodziców, bo na alei Miłej jest zakaz jazdy samochodów.

Moją młodość wspominam jako czas, w którym powoli zaczynałam rozumieć, że żyję na Śląsku. Wspaniała architektura, którą tak zachwyca się moja mama, to było dla mnie coś normalnego. Dziwiłam się tylko, że w miastach wschodniej Polski, dokąd jeździliśmy na wakacje, nie ma rynku. Jak to możliwe? Miasto bez rynku? I bez ratusza na środku rynku? To chyba nie są prawdziwe miasta, myślałam sobie. Było to też dla mnie zupełnie normalne, że w Złotoryi były napisy po niemiecku, których nie rozumiałam. Nie znałam przecież też łaciny, a niektóre napisy były również i w tym języku.

Wraz z upływem czasu rozumiałam coraz więcej. W złotoryjskim liceum chodziłam do klasy bilingualnej, gdzie niektóre przedmioty, między innymi historię, wykładano w języku niemieckim; oprócz tego bardzo intensywnie uczono tam języka niemieckiego. I właśnie lekcje historii zachwyciły mnie i otworzyły mi oczy na historię regionu. Oprócz języka polskiego historia była moim ulubionym przedmiotem, a Alfred Michler, mój historyk – moim absolutnie ulubionym nauczycielem. Podczas lat licealnych powoli zaczęłam rozumieć moje miasto i mój region. Na początku to było jak olśnienie, zachwyt: wreszcie rozumiem, te napisy są po niemiecku, niektóre już nawet mogę przeczytać! A potem, miałam chyba siedemnaście lat, zrozumiałam jeszcze więcej: Aha, to nie byli Polacy, ci, którzy żyli tu przede mną. To gdzie oni teraz są? Czemu ich wygnano? Próbowałam sobie wyobrazić, że Kaczawa, która przepływa przez Złotoryję, staje się granicą państwa, albo że muszę opuścić mój dom, moje miasto, i wiem, że nigdy już tu nie wrócę… To przekraczało moją wyobraźnię. Jak to, nigdy już nie mogłabym wspiąć się na wieżę kościoła mariackiego i spojrzeć na Karkonosze? Umarłabym z żalu! Czułam się winna, że mieszkam w tym pięknym mieście – dlaczego ja, a nie ci, którzy byli tu przede mną?

W tym czasie poznałam kilku wypędzonych złotoryjan/goldbergerów.

Również w Złotoryi po drugiej wojnie światowej nastąpiła wymiana ludności. Skąd pochodzi pani rodzina, pani Magdaleno?

Rodzina mojej mamy pochodzi ze wschodniej Polski, z miejscowości położonej na granicy, przy Brześciu Litewskim, a rodzina mojego taty z Wołynia, dzisiejsza zachodnia Ukraina.

Czy odwiedziła pani już rodzinne strony swoich przodków? Jakie towarzyszyły temu uczucia?

Rodzinne strony mojej mamy znam dobrze, w dzieciństwie jeździłam tam z rodziną w czasie letnich wakacji. W małej podlaskiej wsi mieszkał mój stryjeczny dziadek z rodziną. Oprócz tego w okolicy żyje też bliższa i dalsza rodzina mojej mamy. Ukształtowały mnie wspomnienia z tej pofałdowanej krainy z mnóstwem bocianów, torfowiskami i piaszczystymi drogami. To moja **druga mała ojczyzna**, nawet jeśli teraz odwiedzam ją rzadziej.

Nigdy nie byłam w rodzinnych stronach mojego taty. Jego matka, moja babcia, nigdy nie rozmawiała ze mną o przeszłości. Zdaje się, że jako młoda dziewczyna została wygnana przez sowietów. Mój tata urodził się na Dolnym Śląsku i był jeszcze uczniem, gdy umarł jego ojciec (mój dziadek). Nie było nikogo, kto mógłby podzielić się ze mną wspomnieniami i zaszczepić we mnie tęsknotę.

Droga pani Magdaleno, od niedawna jest pani członkinią zarządu Wspólnoty Ewangelickich Ślązaków. Dlaczego członkowie naszej wspólnoty powinni odwiedzić Złotoryję?

Złotoryja to urokliwe, niewielkie dolnośląskie miasteczko. Można tu zwiedzić dwa kościoły – jeden z nich przez dłuższy czas był ewangelicki, w drugim mieści się dziś klasztor franciszkanów. Pięknie odnowiona jest Baszta Kowalska, a także kamieniczki na starym mieście oraz w Rynku. Na cmentarzu znajdują się ciekawe nagrobki i grobowce. Ponieważ Złotoryja leży w **Krainie Wygasłych Wulkanów**, można wybrać się na zwiedzanie lokalnego wygasłego wulkanu, czyli Wilczej Góry. Nasze miasto jest niewielkie, więc wszędzie jest blisko, co też uważam za plus. Ma również bardzo ciekawą historię, związaną ze znanymi postaciami: świętą Jadwigą, Trotzendorfen, Schwenckfeldem...

Co mogłaby pani, pani Agnieszko, uznać za godne polecenia w Złotoryi?

Przede wszystkim Złotoryja to **najstarsze miasto w Polsce** na prawie magdeburskim, prawa miejskie otrzymała w 1211 roku. O tym wiedzą u nas i dorośli, i dzieci. Dzięki tak długiej historii zachowało się wiele fascynujących zabytków i pięknych miejsc. Najważniejsze było złoto, które wydobywano tu w wiekach średnich, na tym wzbogaciło się samo miasto i ówcześni książęta. Obecnie złoto jest wizytówką Złotoryi, głównie na tym oparto ofertę turystyczną. Jeszcze teraz z wód rzeki Kaczawy można wypłukać złoto. Ponoć gdyby to się robiło systematycznie, to przez dwa lata można by było wypłukać tyle złota, że wystarczyłoby na obrączkę ślubną.

Przez wieki nazwa miasta zawsze była związana ze złotem: AURUM – GOLDBERG – ZŁOTORYJA. Jest u nas dostępna do zwiedzania dawna kopalnia złota. Co roku w maju organizowane są zawody, tzw. PŁUCZKI ZŁOTA, które jednocześnie są świętem miasta. W tym czasie przez ulice przechodzi barwny korowód, w którym złotoryjanie prezentują stroje historyczne ze złotego okresu naszego miasta.

Złotoryja jest pięknie położona wśród wzgórz, z których doskonale widać całe miasto i okolice. Wiele z nich było kiedyś wulkanami, bez trudu można rozpoznać ich charakterystyczne sylwetki. Wygasły wulkan mamy również w naszym mieście, nazywa się Wilcza Góra. Do niedawna był tu wydobywany bazalt, teraz kopalnia jest nieczynna, a teren zrewitalizowano. Dzięki temu cały obiekt można wygodnie zwiedzać właśnie pod kątem odkrywania tajemnic wulkanów.

Jeśli chodzi o zabytki architektury, w mieście zachowały się fragmenty murów obronnych, podwójnych, z tzw. międzymurzem (Zwinger). Mamy kościół mariacki z XIV wieku, klasztor franciszkanów, w którym w XIII wieku bywała księżna św. Jadwiga, Basztę Kowalską, która jest pozostałością dawnych miejskich fortyfikacji, urokliwe kamieniczki z XVII wieku i wiele innych zabytków. Miasto jest zadbane i bardzo czyste, posiada kilka hoteli, więc turysta bez trudu znajdzie nocleg.

Okładka czasopisma Schlesischer Gottesfreund – nr 2/2024

Co **mnie** najbardziej podoba się w Złotoryi? To wszystko, co wymieniłam i ponadto niezwykle urokliwe uliczki i kręte zaułki, z których wiele posiada schodki ze względu na położenie miasta na wzgórzach.

Jest u nas szczególna ulica, która nazywa się obecnie **aleja Miła**, wyłączona z ruchu samochodowego. Rośnie przy niej, w równych odstępach, kilkadziesiąt majestatycznych, wielkich drzew, z których wiele ma dwieście, a nawet trzysta lat. Głównie to lipy i klony, ale też są buki i dęby. Moja córeczka tutaj uczyła się chodzić, aleja była dla niej placem zabaw, ja na ławce w cieniu lip czytałam książki. Moim zdaniem **aleja Miła jest najpiękniejszą ulicą w mieście**, a ja mam przyjemność przy niej mieszkać. To miejsce ukochałam najbardziej.

Dziękuję za rozmowę.

Z niemieckiego przełożyła dr Madgalena Maruck.

* Artykuł „Ukochane miasto Dietricha Sandera" ukazał się w numerze IX-2023 s.20 „Echa Złotoryi".

Agnieszka Młyńczak

Książę Harry i Karol Szewczyk

Per aspera ad astra

Byłem zwyczajnym młodym człowiekiem. Uprawiałem różne sporty od ping-ponga przez tenis po piłkę nożną. Brałem udział w szkolnych rozgrywkach sportowych. W 2007 roku zostałem żołnierzem zawodowym. Trzy lata później jako 22-latek byłem członkiem ósmej zmiany polskiego kontyngentu w Afganistanie. Wówczas spędziłem w Azji niemal 7 miesięcy. Po powrocie wciąż służąc w armii, czynnie uprawiałem sport, zwłaszcza piłkę nożną. W roku 2013 po raz kolejny poleciałem na misję, tym razem w 14 zmianie. Wróciłem w pełni zdrowy. Nie zdarzyło się tam nic, co spowodowałoby najmniejszy uszczerbek na zdrowiu… chociaż… 3 tygodnie od powrotu jechałem motocyklem i na zjeździe z autostrady doszło do wypadku komunikacyjnego. Ciężarówka przejechała mi po nodze. Lekarze długo o nią walczyli, ale niestety musieli się poddać. Wojsko natychmiast się mną zajęło i kilkukrotnie stwierdzono, że moja niedyspozycja, która doprowadziła do wypadku mogła być spowodowana staniem psychicznym, czyli skutkiem drastycznych przeżyć w Afganistanie. W czasie misji służyłem w drużynie saperów. Poruszałem się amerykańskim wozem MRAP. Były to pojazdy dodatkowo opancerzone. Przeżyłem kilka ataków i wybuchów. Sam moment wypadku wyleciał mi z głowy, ale jeśli miałbym go odtworzyć to chyba było to skojarzenie z wybuchającą miną. Obudziłem się z pełną świadomością, że nie mam nogi. Jak już wspomniałem wojsko natychmiast się mną zajęło. Przysłali psychologa, ale nie chciałem z nim rozmawiać. Podobnie było z psychiatrą. To by mogło znaczyć, że byłem wewnętrznie pozbierany. Jadnak najtrudniejsze dopiero mnie czekało. Po wyjściu trzeba było zacząć wszystko od nowa. Nie było to łatwe, ale dzięki pomocy kilku osób nauczyłem się żyć. Szczególnie chcę podziękować rehabilitantowi Pawłowi Nawodyle. Dzięki niemu dość szybko stanąłem i nauczyłem się chodzić o kulach. Potem czekała mnie seria badań w szpitalu MSWiA i … powrót do służby. Zakwalifikowano mnie jako ZO, czyli zdolny z ograniczeniami. W 10 Brygadzie Kawalerii Pancernej w Świętoszowie, utworzono dla mnie stanowisko w Sekcji Personalnej Brygady. Prowadziłem teczki akt osobowych żołnierzy. Od roku jestem wojskowym emerytem. Można by pomyśleć, że jestem twardy, ale ja mam inne zdanie. Jestem bardzo wyczulony na krzywdę ludzką i w takich sytuacjach zawsze okazuje się, że jestem miękki.

Moją żonę Dorotę znałem jeszcze przed wypadkiem, ale związaliśmy się już po nim. To był na pewno jeden z przełomowych momentów w moim życiu. Kiedy już byliśmy sobie bliscy, zaczęliśmy robić to co zwykle się w takich sytuacjach dzieje. Kupiliśmy mieszkanie, zaczęliśmy tworzyć rodzinę. Zbiegło się to z założeniem należącego do żony salonu fryzjerskiego. Mniej więcej w tamtym czasie pojawił się sport. Wcześniej już mocno nad tym myślałem, żeby czymś zająć. Brałem pod uwagę łucznictwo dla niepełnosprawnych. Nawet nie wiedziałem o tym, że istnieje coś takiego jak siatkówka na siedząco. Zaczęło się zupełnie przypadkowo. Trenerka Monika Sokołowska ze swoim partnerem, wypatrzyli mnie w sklepie. Szukali ze mną kontaktu i po krótkiej rozmowie znalazłem się na parkiecie. Pierwsze treningi odbywały się w Legnicy w klubie „Lew”. Grałem tam przez niespełna 2 lata. Później okazało się, że ze Złotoryi i Wilkowa przyjeżdża na treningi 5 osób, podczas gdy miejscowych było 3 – 4 osoby. Proponowaliśmy im w związku z tym, żebyśmy czasami trenowali w Wilkowie skoro więcej osób dojeżdża niż jest na miejscu, ale oni nie chcieli bo musieliby dojeżdżać na własny koszt. Paradoks polegał na tym, że my również dojeżdżaliśmy na swój koszt i nikt nam nie zwracał za benzynę. Trzeba powiedzieć, że w Legnicy drużyna nie rokowała na przyszłość i walka o medale raczej nie wchodziła w grę. Skoro mieliśmy już zawodników to stworzenie drużyny w Wilkowie było raczej nieuniknione. Stronę sportową wzięła na siebie Monika Sokołowska, a organizacyjną i finansową Paweł Choczaj. Nie można wycenić tego, ile im zawdzięczam.

Ponieważ byłem już trochę ograny, zaproponowano mi udział w kadrze polskich weteranów w Igrzyskach Invictus Games. „Igrzyska Niezwyciężonych” to międzynarodowe zawody stworzone przez brytyjskiego księcia Harrego. Biorą w nich udział żołnierze i weterani wojenni uczestnicy w misjach w kraju i poza granicami. Regulamin pozwala każdemu uczestnikowi, na dwukrotny udział. Pierwszy raz brałem w nich udział w Hadze. Planowo miały się odbyć w roku 2020, ale z powodu pandemii zostały przesunięte na rok 2022. Walczyliśmy w tym turnieju między innymi z reprezentacjami Kanady, Australii i USA. W finale zagraliśmy z obrońcami tytułu Gruzinami. Wygraliśmy i zdobyliśmy upragniony złoty medal. W całym turnieju nie straciliśmy nawet seta. Nic nie jest w stanie oddać emocji, które czuje się gdy grają dla ciebie Mazurka Dąbrowskiego. Po raz drugi do kadry polskich weteranów zostałem powołany na zawody, które odbyły się w 2023 roku w Duesseldorfie. Po wygranej z Kanadą w ćwierćfinale mierzyliśmy się z gospodarzami, wygraliśmy gładko 2:0. Potem rewanż za poprzednie zawody z Gruzją, znów 2:0. Bardzo ciężkie spotkanie rozegraliśmy w finale z Kolumbią, z którą po raz pierwszy straciliśmy seta. Ostatecznie wygraliśmy i po raz drugi na mojej piersi zawisł złoty medal, ale już sam udział w tych zawodach jest niezapomnianym przeżyciem. Spotkałem tam ludzi z pierwszych stron gazet, jak choćby pomysłodawcę zawodów księcia Harrego i jego żonę Megan. Impreza jest zorganizowana z dużą pompą. W każdej edycji pojawiają się nowe zespoły. W tym roku była to Nigeria i wspomniana Kolumbia. Wszystko to po to, by niepełnosprawni weterani mieli szansę wyjścia do ludzi i uwierzyli w siebie.

Jadąc na pierwsze z tych zawodów miałem już jakąś pozycję. Niedługo przed pierwszymi zawodami otrzymałem od trenera kadry narodowej propozycję gry w reprezentacji Polski. Wtedy to zaczęło się dla mnie coś bardzo poważnego. Nie miałem innego wyjścia jak wejść w to i być najlepiej, jak potrafię. Moje wysiłki zostały docenione. Niedługo potem zaproponowano mi przeniesienie do drużyny na wyższym poziomie. Zostałem zawodnikiem „Startu” Wrocław w którym na co dzień gra trzech kadrowiczów, a trenerem jest Bożydar Abadżijew, który jest również trenerem reprezentacji. Nasz szkoleniowiec jest Polakiem, nazwisko odziedziczył po ojcu Bułgarze. Sam kiedyś również grał w siatkówkę. Uważam, że jest bardzo dobrym trenerem. Miałem w barwach Wilkowa zagrać jeszcze jeden turniej, ale trenerka uznała, że skoro odchodzę, to muszą sobie radzić beze mnie. Niestety, będę grał teraz często przeciwko swojej macierzystej drużynie, tak jak w ostatnim turnieju gwiazdkowym w Złotoryi, gdzie w półfinale wygraliśmy z drużyną „Gwarka”. Żałuję, że musiałem odejść z Wilkowa, ale moim marzeniem jest wyjść na wyższy poziom, żeby tak mocno zapukać do pierwszej szóstki. Ale nie robię tego wszystkiego, aby być najlepszym na krajowym podwórku. Nie ukrywam, że moim celem i największym marzeniem jest paraolimpiada. Dlatego zmiana klubu to ruch skierowany przede wszystkim na kadrę. Na ostatnich mistrzostwach Europy zajęliśmy 4 miejsce, dla mnie był to coś. Odebrałem to jako duży sukces. Przyszło nam grać z Bośnią i Hercegowiną – byłymi mistrzami świata i mistrzami Europy. Na turnieju rozmawiałem z Erwinem Josofowi-

czem zawodnikiem tej drużyny, który gratulował nam wyniku i powiedział, że nie spodziewał się, że tak wysoko powiesimy im poprzeczkę. Byli pewni, że w drugim secie zagrają rezerwowym składem, tymczasem musieli włożyć ogromny wysiłek w końcowy sukces. Nie wierzył, że w siatkówkę gram dopiero od sześciu lat, a są u nas w drużynie dwudziestoparolatkowie. U nich są zawodnicy, którzy w kadrze grają ze sobą ponad 20 lat. Wcale nie jest tak, że wiek ich wyklucza. Sama gra pozornie niewiele się różni od siatkówki „stojącej", niemniej najtrudniejszym elementem jest przesuwanie się. Grał z nami Piotr Gruszka. Nie wierzył, że ta gra jest tak wymagająca. Powiedział nawet, że trzeba być tu bardziej sprawnym niż w jego dyscyplinie. Tam ręce są przygotowane. Wystarczy zrobić kilka kroków żeby zająć właściwą pozycję. Tu trzeba się przesuwać przy pomocy rąk, a potem jeszcze dobrze zagrać. Był pełen podziwu dla naszego wysiłku.

Moja pozycja w kadrze jest stabilna. Dostaję regularne powołania. Nie mamy kontraktów zawodniczych. Wiele kosztów to nasz prywatny wydatek. Na zgrupowaniu organizator zapewnia hotel, treningi i zwrot kosztów dojazdu. Są to rzeczy bardzo ważne i doceniam, że w ogóle są. Obecnie w kadrze mamy 13 zawodników, o których nasz trener mówi, że można z nami osiągnąć wiele. Celem drużyny, podobnie jak moim jest paraolimpiada, o tym nieustannie marzymy. 31 marca wylatuję do Chin, na turniej kwalifikacyjny do tych zawodów Naszą sytuację komplikują trochę przepisy, które dają prawo gry mistrzom świata, mistrzom kontynentów i gospodarzom, w tym wypadku Francji, która zajmuje w rankingu światowym bodaj 24 pozycję. Miejsc jest tylko 8 i 7 z nich jest już obsadzone. Jedziemy zatem walczyć o to jedno wolne miejsce. Naszymi rywalami będą Chorwacja, Chiny, Japonia, Kanada, USA i Irak. Po powrocie z mam nadzieję udanych kwalifikacji, mamy zawody Champions Cup w Chorwacji. Są to zawody rozgrywane pomiędzy sześcioma najlepszymi drużynami klubowymi w Europie. Po mam nadzieję udanym starcie czeka mnie udział w Golden League. To z kolei starcie reprezentacji, które rozegrane zostanie w Bośni pod koniec maja.

Najtrudniej odpowiedzieć mi na pytanie – o co mi chodzi? Czasem kiedy o tym mówię mam łzy w oczach. Mam po prostu coś do udowodnienia i niekoniecznie sobie. Byłem normalnym młodym człowiekiem, który z pasją grał w piłkę. Miałem paczkę przyjaciół, z którymi grałem, ale też wyjeżdżaliśmy na mecze reprezentacji. Kiedy uległem wypadkowi, poczułem jak większość się ode mnie odsuwa. Zadawałem im pytania mówiąc – słuchajcie ja straciłem nogę, nie głowę. Nadal jestem tym samym człowiekiem. Dlaczego nikt nie wpadł na pomysł, żeby, po mnie przyjechać i zabrać mnie na mecz? Dla trzech, czy czterech zdrowych chłopów to żaden problem wziąć mnie z wózkiem do samochodu. Nie zagrałbym przecież i nie zabierałbym nikomu miejsca w drużynie, ale mógłbym przecież obejrzeć mecz z bliska i wam kibicować. Przykre, ale wiele osób się ode mnie odwróciło. Dlatego powiedziałem sobie, że chcę pokazać, że można. Nie użalam się nad swoim losem, bo wiem, że ludzie mają większe problemy niż ten, że nie mogą sobie samodzielnie przynieść zupy w restauracji.

W czerwcu planuję zaatakować Śnieżkę i nie z Równi, ale od podnóża. Już zajmuję się organizacją. Chcę powiadomić GOPR o próbie wspinaczki. Jeden z przyjaciół będzie szedł ze mną w obie strony. Do tej pory nie ciągnęło mnie w góry, ale teraz to jest wyzwanie. Chciałbym to także zrobić dla osób niepełnosprawnych, pokazać, że można i trzeba wyjść z domu. Niektórzy już biorą przykład. W pobliżu mieszka chłopak, który nie ma nogi i za moim przykładem zdobył prawo jazdy. Niewykluczone, że zdecyduję się na start w wyborach samorządowych. Wciąż mamy wiele barier architektonicznych. Nawet nasz Urząd Miasta informuje, że jest przyjazny osobom niepełnosprawnym. No cóż, kilka razy się odbiłem od ściany. Dzwonek dla niepełnosprawnych... jest za parkingiem dla rowerów i tablicą informacyjną.

Nałożenie na siebie koszulki z orzełkiem na piersi to wyjątkowe uczucie i nie da się go do niczego porównać. Grając w kadrze mam świadomość, że reprezentuję tysiące niepełnosprawnych Polaków. Szkoda tylko, że nasze rozgrywki tak rzadko goszczą w telewizji. Największym moim marzeniem jest wystąpić na olimpiadzie i usłyszeć Mazurka Dąbrowskiego. Na mistrzostwach Europy nam nie zagrano, ale wciąż wierzę, że uda się to na paraolimpiadzie.

O swojej pasji opowiedział Karol Szewczyk.

Andrzej Wojciechowski

Za 100 lat nie będzie nas, ale będzie las

Z nadleśniczym Nadleśnictwa Złotoryja Jackiem Kramarzem rozmawia Agnieszka Młyńczak.

Dlaczego leśnicy są umundurowani?

Jesteśmy służbą leśną, a służba (straż pożarna, policja, wojsko) jest zawsze kojarzona z mundurem. Teraz mam na sobie mundur codzienny. Tu jest baretka, z której można wyczytać, że pełnię funkcję nadleśniczego. W zależności od pozycji zawodowej mamy także stopnie od aspiranta leśnego, poprzez leśniczego pierwszego, drugiego i trzeciego stopnia, adiunkta, młodszego i starszego inspektora po dyrektora leśnego w różnej randze.

Jaką funkcję pełni nadleśnictwo?

To jest państwowe przedsiębiorstwo, które zajmuje się prowadzeniem gospodarki leśnej na powierzonym obszarze. Nasze nadleśnictwo zasięgiem administracyjnym obejmuje lasy i grunty orne, nawet miasta na powierzchni około 80 000 hektarów. Miasta się rozrastają, a granice nadleśnictw są stałe. W bezpośrednim zarządzie Nadleśnictwa Złotoryja mamy około **19600 hektarów** lasów państwowych. Cała Polska jest podzielona na 430 nadleśnictw. Nadleśnictwa stoją między innymi na straży prawidłowego wykorzystania różnych funkcji lasów.

Jak sobie radzą leśnicy, aby nie zbłądzić w lesie? Mają jakieś terenowe punkty orientacyjne, których nie widzi na przykład grzybiarz? Przecież w lesie nie ma drogowskazów.

Wbrew pozorom są!

Aha, tajemne znaki?

Uchylę rąbka tajemnicy. Przede wszystkim mamy dokładne mapy. Na każdym skrzyżowaniu leśnych dróg–**linii oddziałowych** są słupki granitowe osadzone w ziemi i wystające na kilkanaście centymetrów. Na nich znajdują się numery kwater (oddziałów), które stanowią wskazówkę dla leśników. Poza tym obecnie leśnicy dysponują na smartfonach aplikacją *mLas Inżynier* z mapą numeryczną, która wykorzystuje technologię gps i pozwala w każdej chwili skorzystać z informacji o dowolnym fragmencie lasu. W przypadkach ustalenia granic własności dysponujemy sprzętem o niemal geodezyjnej dokładności pomiarów. Co prawda w ten sposób nie zlokalizujemy przewróconych świerków czy dębów, ale kto wie, co nam przyniesie przyszłość?

Z naszego słownictwa znikają takie słowa jak bór, knieja, leśne ostępy. Lasy kiedyś, nawet 50 lat temu, wyglądały zupełnie inaczej niż teraz, bo są zmieniane właśnie przez leśników. Czy lasy przestały być dzikie?

Hm… czy są dzikie? Wydaje mi się, że tak. To jest duży temat. Pojęcia ostoi, ostępów czy borów i kniei nadal funkcjonują wśród leśników. Owszem, w ramach prowadzonej gospodarki leśnej przebudowujemy iglaste bory na lasy liściaste lub mieszane, ale to jest podyktowane podniesieniem odporności drzewostanów poprzez zwiększanie bioróżnorodności.

Nie wiadomo czy to dobrze, czy źle, że las jest zmieniany przez człowieka? Czy przez to las może stać się wypielęgnowanym ogródkiem?

Czy grożą nam uprawy plantacyjne lasu? Myślę, że nie. Nasza gospodarka leśna opiera się o jak najbardziej ekologiczne podstawy. Są to naturalne lasy o składach gatunkowych dostosowanych do siedlisk (gleb), jakie tu występują. Jeżeli tak nie jest, to zaczynamy je przebudowywać, o czym wspominałem.

Po drugiej wojnie światowej na Dolnym Śląsku dostaliśmy w spuściźnie lasy z przewagą drzew iglastych. Świerki sadzono dlatego, że szybko rosły, by je można było szybko ściąć i osiągnąć zyski, nie było celu ekologicznego. My zaczęliśmy uzupełniać lite świerczyny drzewami liściastymi. Oczywiście nie ma tu mowy o żadnych plantacjach, domieszki są lokalizowane w miejscach optymalnych dla ich wzrostu. Często także wprowadzamy jodłę, która dzięki lepszemu systemowi korzeniowemu radzi sobie lepiej z suszą niż świerk. Przed kilkudziesięciu laty to właśnie jodła była stałym i powszechnym elementem leśnego krajobrazu. Świerk nie radzi sobie z suszą, bo ma płaski system korzeniowy. Oznacza to, że gdy spada poziom wody, nie potrafi jej czerpać z głębszych warstw gleby. Nie ma także mechanizmu obronnego jak drzewa liściaste, które zrzucając liście zmniejszają swoje zapotrzebowanie na wodę. Gdy świerk zrzuci wszystkie igły, to znaczy że już umiera.

Naukowcy opracowują prognozy przetrwania gatunków drzew przy założeniach tendencji ocieplenia klimatu. Prace te mówią, jakie gatunki drzew będą tymi wygranymi za około 30-50 lat. Leśnicy korzystają z tych badań, mając do dyspozycji tylko i aż ilość rodzimych drzew. Nikt jeszcze – na szczęście 😉 – nie wymyślił superdrzewa odpornego na wszystko, z którego można by stworzyć superlas.

Czy chce mi pan powiedzieć, panie nadleśniczy, że poprzedni właściciele zostawili nam za dużo świerków?

Tak.

Zatem teraz urozmaicacie te nasadzenia?

Monokultury świerkowe zastępujemy domieszkami buka, dębu, jawora, jesionu, grabu, wiązu, lipy, jodły. Oczywiście tam, gdzie to możliwe. Ze świerkiem nie przestaliśmy się lubić. Jest on stałym elementem lasów regla dolnego, gdzie wilgoci jest trochę więcej, a inne gatunki – jak dąb – nie radzą sobie z przymrozkami na dużych wysokościach.

I to jest intrygujące. Życie zawodowe leśnika to okres około 40 lat, a musi planować do przodu całe sto lat! Niewyobrażalne!

Tak to się dzieje. Dziś określamy cele hodowlane do osiągnięcia za sto lat .

To są niewyobrażalne jednostki czasowe! Nawet nie ma takiego kalendarza, żeby zapisać.

Z uwagi na wiek życia drzew (100 i więcej lat) cele gospodarki leśnej trzeba rozpatrywać w bardzo wydłużonej perspektywie. Rolnicy i ogrodnicy w tym zakresie mają prościej i bardziej przewidywalnie, bo długość życia większości roślin uprawnych to przeważnie jeden rok.

Ale przecież nie ma pan pojęcia, jaki będzie klimat za 100 lat i jakie w związku z tym sadzić drzewa. Tego nie sposób przewidzieć.

Bazujemy na osiągnięciach naukowych, uczymy się tego w szkołach leśnych. Wiemy, jakie są cechy drzew, jakie czyhają na nie zagrożenia. Owszem, nie sposób przewidzieć, czy ktoś nie przywlecze nam jakiegoś szkodnika, który na przykład pożera sosnę, której mamy w Polsce dużo. W pewnym uproszczeniu wiemy, co to jest bioróżnorodność, która im jest większa, tym mniejsze ryzyko hodowlane.

A teraz jest taka sprawa: jeżeli pozostawić las samemu sobie i nic w nim nie robić, żadnych nasadzeń, usuwania obalonych drzew, stosować tzw. bierną rezerwatową ochronę lasów, to las by zginął czy się odrodził? A jeżeli tak, to po jakim czasie? Czy leśnicy pomagają lasom, czy tylko starają się wyciągnąć z nich jak najwięcej zysków?

„Nie było nas, był las ” każdy zna to powiedzenie i ja też z pokorą uznaję je jako prawdziwe. Jest pewne „ale”. Podam przykład wspomnianej jodły. Gdybyśmy zdecydowali się na pozostawienie jej samej sobie, to na naszym terenie wkrótce przeszłaby do historii. Rośnie jej wprawdzie kilkadziesiąt egzemplarzy, ale jej rozproszenie nie gwarantuje wymiany genetycznej i tym samym zapewnienia silnego młodego pokolenia. I tu właśnie jest rola gospodarki leśnej. W ramach programu restytucji jodły w Sudetach została stworzona różnorodna genetycznie baza nasion, z których wyhodowano sadzonki. Posadzono je na uprawach leśnych. Efekt – gatunek ocalony!

Inny, bardziej powszechny przykład, to ochrona przeciwpożarowa lasu, pielęgnacja sadzonek drzew w uprawach leśnych, które nie wytrzymują konkurencji z chwastami. Cięcia trzebieżowe są wykonywane po to, by dzięki większej dostępności światła przyśpieszyć przyrost, co wzmacnia drzewa i uodparnia na wiatry. Chodzi o to, że człowiek poprzez te zabiegi przyspiesza pewne procesy, które i tak by zaszły. Zysk nie jest celem gospodarki leśnej. Priorytetem jest zapewnienie ochrony i trwałości lasu. O tych zasadach mówi ustawa o lasach, na podstawie której pracujemy.

To tak jak w ogródku, sieje się gęsto, a gdy rośliny wzejdą, to się je przerywa. Wy też stosujecie takie przerywanie młodnika. I co, wyrzucacie potem te drzewa? Biedne drzewa…

No tak, usuwamy chore, zaatakowane przez szkodniki, żeby nie zainfekowały tych zdrowych. Z części młodszych drzew pozyskujemy surowiec wykorzystywany przez produ-

Słód

centów płyt meblarskich.Takie zabiegi robi się co dziesięć lat, a w nowo posadzonym lesie częściej, nawet dwa razy w roku.

Jest taka zagadkowa jednostka jak biuro urządzania lasu i geodezji leśnej. Na czym polega jego działalność?

Tak, jest coś takiego. To bardzo ważna instytucja. My najczęściej współpracujemy z Biurem Urządzania Lasu i Geodezji Leśnej Oddział w Brzegu. To oni są wykonawcami **Planu urządzenia lasu,** który sporządza się co 10 lat. Jest to dokument planistyczny, zatwierdzany przez Ministra Środowiska po wielu konsultacjach. To jest właśnie fundament **prowadzenia gospodarki leśnej**. Żeby przygotować taki plan, należy najpierw przeprowadzić inwentaryzację całego nadleśnictwa. Badana wtedy jest struktura lasów, zasoby, budowa, wiek, skład gatunkowy, stan zdrowotny, warunki siedliskowo-glebowe, stan sanitarny lasu…

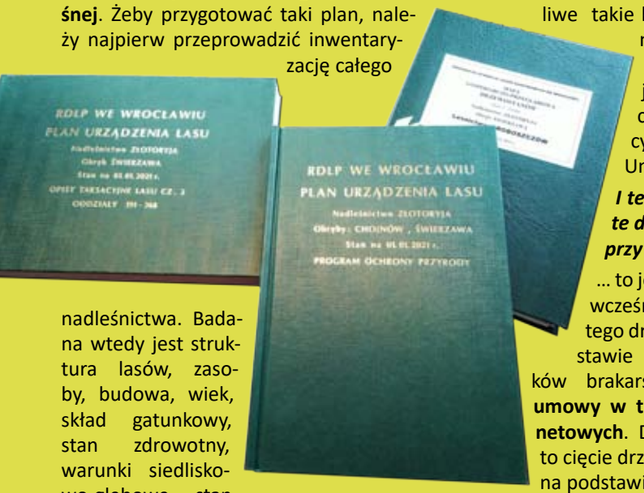

Fascynujące rzeczy, nieznane szerszemu ogółowi.

Tak! No więc do lasu wchodzą **taksatorzy leśni,** dokonują pomiaru i oceny (taksacji) drzewostanu, sporządzają opisy taksacyjne. W czasie inwentaryzacji w lasach przez kilka miesięcy przebywa kilkadziesiąt osób, które wszystko mierzą i zapisują.Taką akcję mieliśmy w naszym nadleśnictwie w 2019 roku. Na koniec pracę taksatorów odbieramy komisyjnie w terenie, weryfikując losowo dokładność przeprowadzonych prac. Aktualne operaty urządzeniowe zachowują ważność do 2030 roku. Proszę zobaczyć, to kilka pokaźnych ksiąg, mamy ich całe półki!

I wtedy pojawia się decyzja o cięciu drzew? Wydaje się, że ostatnich dziesięciu latach coraz więcej widać ściętych drzew ułożonych w sągi przy leśnych drogach. Czy to jest tylko złudzenie?

Limity pozyskania są to maksymalne, nieprzekraczalne wielkości w przypadku nadleśnictwa Złotoryja, takie same w okresie obowiązywania poprzedniego Planu urządzenia lasu w latach 2010-2020 jak i bieżącym na lata 2020-2030. Być może koncentracja pozyskania drewna w jakimś obszarze powoduje wrażenie większych wycinek. To leśniczowie i podleśniczowie w swoich leśnictwach są głównymi autorami rocznego planu działań gospodarczych, również z zakresu pozyskania drewna. To oni są w lesie codziennie, odpowiadają za dobre reakcje na potrzeby lasu. Przy wyborze kierują się znajomością terenu, pilnością przeprowadzenia zabiegów hodowlanych, koniecznością kontynuowania rozpoczętej przebudowy, etc.

Czy Lasy Państwowe sprzedają nasze drewno do Chin, jak donoszą media?

Myślę, że w obecnym systemie sprzedaży drewna w lasach państwowych nie są możliwe takie kierunki zbytu. Naszymi kontrahentami są głównie odbiorcy krajowi, a także w pewnej części przedsiębiorcy z ościennych państw UniiEuropejskiej.

I teraz tak, macie wycięte drewno, leży w sągach przy leśnych drogach…

… to jest trochę inaczej. Rok wcześniej prognozujemy, ile tego drewna będzie i na podstawie tak zwanych szacunków brakarskich **kontraktujemy umowy w trybie rokowań internetowych**. Dopiero następny rok to cięcie drzew i dostawa surowca na podstawie zawartych z klientami umów, zgodnie z uzgodnionymi harmonogramami.

A jeśli w tym czasie przyjdzie huragan i powali wam hektary drzewostanu?

No właśnie!Wtedy planowanie bierze w łeb. Nasza praca to uprzątanie efektów wiatru, aby nie dopuścić do rozwoju szkodników gradacyjnych i uchronić drewno przed zniszczeniem, usunąć niebezpieczne drzewa częściowo powalone z naderwanym systemem korzeniowym. Taki las po huraganie to także potencjalne zagrożenie pożarowe z brakiem dostępności do przeprowadzenia akcji gaśniczej. Trudna, niebezpieczna i mozolna praca. A po uprzątnięciu stajemy na początku nowej historii: nasiono, sadzonka, uprawa , młodnik, tyczkowina, drągowina … **Bo za sto lat nie będzie nas, ale będzie las**. Może ktoś to doceni 😉.

Ale powiem na pocieszenie, że obecnie jest więcej lasów w Polsce niż jeszcze 30 lat temu, bo polityka państwa idzie w kierunku zwiększania lesistości.

To świetna wiadomość i tego się trzymajmy. Bardzo dziękuję za rozmowę.

Agnieszka Młyńczak

Nadleśnictwo Złotoryja

Na pocztówce nie wiadomo skąd

Pewnej warszawskiej nocy, gdy księżyc niechętnie ustępował kolejnemu świtowi, wydarzyło się coś, co przeszło do historii. Po upojnym wieczorze w klubie Park, gdy Mogielnicki maszerował przez bliżej nieznane ulice, narodził mu się w głowie pewien pomysł, pewna myśl, która poczęła się na rauszu, a dojrzała nazajutrz. Myśl, która zabetonowała listy przebojów, a i taka, która mimo wielu lat na karku, mimo tysięcy dni, nadal porywa.

Często możemy usłyszeć, że ktoś się rodzi z talentem. Ktoś bryluje w docenianej dyscyplinie sportowej, a jeszcze ktoś z łatwością staje się wirtuozem fortepianu. Taki dar można mieć również do pisania. Co prawda większość z nas umie z siebie wydobyć nawet tysiące słów, jednak mało kogo stać na zawarcie formuły w zaledwie garstce tychże znaków. Stać na to było z całą pewnością Andrzeja Mogielnickiego - naczelnego tekściarza zespołu Lady Pank. Człowiek, który mało mówił, zresztą - kto zna Jego głos? Ano - mało kto. Jednak któż nigdy nie słyszał choćby „Kryzysowej narzeczonej", której to proces powstawania opisałem we wstępie. Szara i smutna komuna, bieda i ... marzenia. Mogielnicki jednak szybko zmierzył się z łaskawie panującym, już od zarania dziejów, odrzuceniem i tęsknotą. Właśnie takimi udrękami owiana jest „Kryzysowa", tą melancholią. Autor rozlicza się ze swoją ukochaną, która zamiast czytania „Trybuny Ludu", wolała posmakować zachodniej zieleni. No właśnie, mimo lakonicznych dwóch zwrotek, warszawski twórca ukazał ogromny problem jego pokolenia, które walcząc, często o lepsze jutro, podejmowało się zuchwałych działań. Niestety, często zostawiając po tej drugiej stronie muru zrozpaczone kochanki lub kochanków.

Mogielnicki, rzecz jasna, porusza problemy społeczne nie tylko w sztandarowym przeboju wrocławskiej grupy. „Stacja Warszawa" jest takim tekstem opisującym stołeczne życie z perspektywy człowieka, który w Warszawie dostrzegł miejsce - raj, w jakim zarobi krocie. Przy okazji zarabiania bajońskich sum napotkał zepsucie i wrogość.

Dzisiaj - na Dominikanie - idylla na starość, już spokojną, bez gwałtownych nocy w labiryncie warszawskich chodników. Jest to pierwszy poeta, bo wydaje mi się, że tak pana Mogielnickiego nazwać mogę, którego opisuję i który żyje. Wcześniej zdarzało mi się wspominać o wybitnych wierszokletach przebywających już po drugiej stronie drzwi do wieczności. Warto docenić i słuchając muzyki - wysłuchać słów. Nie było i myślę, że długo jeszcze nie będzie postaci, która niczym dym z papierosa wypuszczałaby przeboje na lata, nie na lato. A Mogielnickiemu - ode mnie - „Wesołych świąt". I - co oczywiste - na pocztówce nie wiadomo skąd...

Jakub Rębisz LO Złotoryja

Dzieje grzechu

Niedawno wraz ze swoją klasą w ramach języka polskiego odwiedziłam teatr legnicki, gdzie wystawiano adaptację powieści S. Żeromskiego "Dzieje grzechu" w reżyserii Artura Pałygi.

Sztuka jest oparta na powieści, jednak jest dostosowana do teraźniejszości. Akcja zaczyna się na przygotowaniach do więziennego balu walentynkowego. Otoczona balonami w kształcie serca, girlandami i innymi ozdobami, Ewa Pobratyńska wspomina swoje szczęśliwe dni ze swoją miłością - Łukaszem Niepołomskim. Zakochując się w nieodpowiednim mężczyźnie, przekreśla swoje szanse na godną przyszłość. Na jej drodze do szczęścia stoi wiele przeszkód; w tym żona Łukasza, bezwzględne społeczeństwo oraz jej rodzice. Jako że utwór Żeromskiego jest ponadczasowy, pisarz zastanawia się, czy miłość jest człowiekowi potrzebna, co powoduje upadek człowieka, czy człowiek ma jakikolwiek wpływ na swój los, a przede wszystkim - jak powstaje grzech?

W spektaklu występuje scena, w której reżyser zdaje się rozprawiać z miłością, kwestionuje jej wartość. Udowadnia, że miłość jest przereklamowana i prowadzi wyłącznie do zguby, ponieważ zakochany człowiek nie jest sobą. Czy jednak to o miłość naprawdę chodzi?

Moim zdaniem łatwo pomylić prawdziwą miłość z pożądaniem, co stało się w przypadku Ewy. Dziewczyna faktycznie stacza się, odkąd poznała Łukasza, jednak czy to właśnie miłość jest przyczyną jej grzechów. Ewa jest chrześcijanką, często modli się i chodzi do kościoła (jak na ironię nosi imię pierwszej grzesznicy). Wkrótce jednak zdaje sobie sprawę, że to, co czuje, jest silniejsze od jej morale. Czy Ewa miała jakikolwiek wpływ na swoje czyny, czy kierowała nią wyłącznie miłość?

Myślę, że Żeromski stawia wszystkie te pytania dotyczące losu ludzkiego, żeby na nie nie odpowiadać i uważam, że twórcy sztuki dobrze odzwierciedlili wizję pisarza, jednak nadal pozostali wierni swoim opiniom, co sprawiło, że sztukę oglądało się świetnie.

Jedynym mankamentem spektaklu było to, że jeden aktor wcielał się w role wielu postaci, przez co, nie znając oryginalnego tekstu, łatwo można się było pogubić. Warto jednak podkreślić, że znaczną część powieści zajmują rozważania snute przez Ewę w myślach. Twórcom spektaklu udało się wprowadzić i ten element. W kilku scenach cztery aktorki wcielały się w rolę Ewy, a każda z nich przedstawiała inne jej emocje. W dodatku spektakl zawierał świetnie dopasowaną do nastroju muzykę.

Wszystkie te elementy sprawiają, że spektakl w mojej ocenie, jest godny polecenia.

Hanna Sosa LO Złotoryja

Nie myślałam, że dożyję tych lat

Część 1. Na Kresach

Pochodzę z Wałachówki, województwo tarnopolskie, powiat Zbaraż. Urodziłam się 5 lutego 1936 roku. Moi rodzice to Katarzyna i Marek. Miałam przyrodnią siostrę Janinę - z pierwszego małżeństwa ojca, jej matka zmarła. Moja druga siostra – Helena umarła na zapalenie płuc, a brat na szkarlatynę. Nie było na miejscu lekarza. Wałachówka to była polska wieś – 74 numery. Do kościoła chodziliśmy do Zarudzia. Rodzice mieli gospodarkę. Nasz dom to była taka lepianka z gliny i słomy, z których robiliśmy sami „chałamuce” – takie klocki. Kto był zamożniejszy, to miał murowane ściany. U nas tato wymurował stajnię, nawiózł część kamienia na budowę domu, ale wybuchła wojna i na tym się skończyło. Jedynie stajnia została pokryta blachą. Nasz dom miał jedną izbę. W niej stał piec, był przedzielony, a za piecem taka wnęka była, jakby kuchnia. Był także „wańkisz” - taki przedpokój. Komora też u nas była, a w niej stał piec. U niektórych piec do pieczenia chleba był w domu. Na nim się spało, a u nas przez to, że piec chlebowy był w komorze, to tylko latem tam spano. Jak goście przyjechali do nas, to domownicy nocowali w komorze, a goście w domu. Dzieciństwo miałam dobre. Nie było nam źle, bo rodzice byli zaradni, dbali o nas. Byłam ubrana (żona chrzestnego szyła mi sukieneczki), najedzona, miałam dwie pary butów (pamiętam sandałki, jakie mi tato przywiózł ze Zbaraża: czerwone na co dzień i białe na niedzielę)

Chodziłam tam do polskiej szkoły, do pierwszej klasy. Później miałam zacząć drugą, ale wojna wszystko przerwała. W szkole było kółko artystyczne, gdzie starsi uczniowie robili przedstawienia. Pierwsza klasa miała lekcje od 8.00 do 11.00. W Wałachówce były 4 klasy, a później jak wybuchła wojna to już dzieci do Stryjówki chodziły. Tam była 7- klasowa szkoła. Gdy byliśmy nieco starsi, chodziliśmy do Stryjówki do kościoła. Tam był ksiądz, który udzielał nam komunii. Trzeba było bardzo uważać po drodze na Ukraińców - rzucali w nas kamieniami. Po drodze mijaliśmy stawy i wał pomiędzy nimi. Ksiądz ze Stryjówki wyprowadzał nas aż w okolicę Wałachówki, bał się o nas. Dopiero stamtąd szliśmy sami do domu. Jednego razu nasz kolega Staszek zdenerwował się, przetrzepał i postraszył tego Ukraińca, co nas tak zaczepiał. Później był trochę spokój. Ksiądz, mimo wszystko, odprowadzał nas aż do naszej drogi do wsi. W Wałachówce był żydowska rodzina Dyków i Gienia, co ukrywała się u nas przed Niemcami. W moim domu, w stodole, zrobiła sobie takie dziury i w nich siedziała. Moi rodzice nawet nic nie wiedzieli o tym. Był też Aaron i dwoje starych Dyków. Aarona i Gienię pamiętam najlepiej.

Pamiętam, że przed wojną tworzyły się organizacje, działała organizacja strzelecka. Ludzie bali się o niej mówić, bo aresztowano jej członków. Nawet wujka mojego męża aresztowali, przez co już do Polski nigdy nie wrócił. Wyjechał z kraju. Zabrali też Janka - kolegę brata. Nie znaleźli już go później. Słuch po nim zaginął. Był w Tarnopolu w więzieniu, gdy go z więzienia prowadzili do Zbaraża, to ludzie mówili, że był tak zbity był, że nie było widać, gdzie na twarzy nos, a gdzie oczy. Był to człowiek po szkole, po Politechnice Lwowskiej, to wzięli go za prowodyra. Wydał go sąsiad – donosiciel taki. Komu z członków organizacji udało się przeżyć, to później najczęściej wyjeżdżał z kraju. Nie wracał, bo się bał i był prześladowany. Powołano taki istreibitelnyj batalion, zorganizowano młodzież pod sowiecką komendą. Dano im karabiny, granaty. Ludzie gromadzili się i bronili wiosek w razie ataku banderowców. Wieczorami śpiewano, by stwarzać pozory, że coś się dzieje w okolicach polskich wiosek, gdzie było mało rodzin ukraińskich. Samoobrona powstawała, by chronić wsie przed banderowcami, mobilizowały się też kobiety, w tym moja mama, dzieci i część starszych mężczyzn, co nie mogli pojechać na wojnę i zostali w domach. Chodzili po okopach nawet przez pół nocy. Takie chłopaki jak mój mąż Franek, co miał wtedy 15 lat, to już byli nawet na tyle zorganizowani, że jakby doszło do potyczki, to próbowaliby stawiać opór. I tak się żyło - z dnia na dzień... W Stryjówce chyba 4 osoby zabito, zginął kościelny. Jedynie ksiądz uciekł i udało mu się przeżyć. Taka Janka też uciekła, postrzelili ją w rękę, ale schowała się w stogu siana. Prawie się wykrwawiła, zanim ją znaleźli w dzień. Później przez całe życie miała tę rękę niewładną. Masowych mordów blisko Wałachówki czy Zarudzia nie było, więcej na Wołyniu, ale takie pojedyncze się zdarzały. Niestety, masowe też mogły nas czekać! Do Zarudzia przyjechali banderowcy, zaaklimatyzowali się w jednym z domów. Na szczęście wykryto ich w porę!

Jak się zaczęła wojna z Niemcami, to rosyjscy żołnierze w szynelach szli nieraz w nocy. Wtedy uciekaliśmy do babci Lewczukowej, tam się gromadziliśmy. Mnie pod stół wsadzali z innymi dziećmi, co się bały. Ci sołdaci byli straszni, pozarastani. U nas na podwórku był namiot. W nim znajdował się skład amunicji, gdy w Tarnopolu była bitwa. Znajdowała się tam sama lżejsza amunicja (nie taka jak do dział), przywozili ją do nas furmankami. Namiotu pilnowała warta. Wiem, że tam były granaty, amunicja do pistoletów i karabinów. Przez to w nocy musieliśmy iść spać do babci, bo nie wolno nam było tam przebywać. Pamiętam, jak rannych żołnierzy przywozili i tych lżej rannych po naszych domach rozsyłali. Później, za jakiś dzień lub dwa, ich zabierali. U Ambrożych był punkt, gdzie opatrywali rannych. Cała okolica była pod kontrolą Sowietów. Pod Tarnopolem dwa tygodnie trwała bitwa. Trochę tych wydarzeń zapamiętałam, a resztę to z opowiadania usłyszałam. Tato lubił dużo opowiadać, przychodzili koledzy do niego albo do Franka Pronkiewicza się schodzili, bo on także lubił opowiadać. Ludzie interesowali się Polską, jej historią i przekazywali sobie tę polskość

Część 2. Podróż na Dolny Śląsk i początki życia w Olszanicy

Gdy wojna dobiegała końca, to na Wołyniu były robione czystki i ludzi z tamtych terenów przesiedlano w nasze strony, a nam powiedziano, że musimy jechać na Ziemie Odzyskane. Z tymi Wołyniakami to jeszcze dwa, trzy miesiące razem mieszkaliśmy. Każdy wtedy myślał, że jedziemy tylko na trochę, do czasu, aż sytuacja się uspokoi. Nie mogliśmy zabrać ze sobą wszystkich naszych rzeczy, ilości były ograniczone. Moja mama zabrała ze sobą krowę, dwie owce, 10 kurek i jeszcze trochę zboża (by obsiać ziemie, na które ich zabiorą), bagaż podręczny, ubrania i to tyle. Pojechaliśmy pod koniec września końmi do Zbaraża na stację. Gromadziliśmy się tam i czekaliśmy na datę wyjazdu. Podróż była męcząca. Jechaliśmy 7 tygodni, zwykle w nocy, przemieszczaliśmy się kawałek i robiliśmy postój, najczęściej w miejscu, gdzie była woda i coś zielonego, by nakarmić zwierzęta. Pamiętam, że w Przemyślu lub w Przeworsku staliśmy 2 tygodnie. Postój zrobili nam nad rzeką, by był dostęp do wody. Ludzie zaczęli myć się w rzece, bo jak jechaliśmy, to żadnej higieny nie było i w końcu po długiej drodze mogliśmy się umyć. Kilka starszych osób zmarło w podróży. Zmarł dziadek Gienka, pochowano go w Przeworsku. Ludzi grzebano tam, gdzie akurat były postoje. Zdarzało się, że jak była potrzebna lokomotywa, to odczepiano ją od naszych wagonów i zabierano, a skład z ludźmi czekał na następną. My to jeszcze mieliśmy o tyle dobrze, że trafiliśmy na kryty wagon. Z nami jechali Walduny, Korczowscy, Franek i Olga Kordyjaka, Janka Barylska. Pamiętam, że spałam na workach po zbożu. W wagonie była żelazna kuchnia, na której gotowano, co tylko wpadło w ręce. Nawet czasem trawę, aby tylko było co jeść. Było kilka transportów, jedni dotarli bliżej inni dalej: do Głogowa, Chojnowa, Szczecina. Przyjechaliśmy tu 5 grudnia 1945 roku. Na stacji był punkt repatriancki, gdzie przydzielano ludzi do wiosek, w których jeszcze były wolne domy. Ludzie jechali do wsi ciężarówkami, a kto miał konie, to końmi. Jak przyjechaliśmy do Olszanicy, to pojechaliśmy do mojej babci. Ona przyjechała dwa tygodnie wcześniej. Tam przenocowaliśmy i na następny dzień zaczęliśmy rozglądać się za domami. Więksi gospodarze zajmowali większe posesje, ci biedniejsi - mniejsze domy. Niektóre to nawet się waliły, ale zajmowano je, bo miały stodołę i ładną stajnię. Gdy znaleźliśmy nasz dom, to byli tam jeszcze Niemcy. Dwoje starszych i

☛

Dziewczęta z Olszanicy

Mama Marii, wuj Jan z żoną i synem Janem, stryjenka z synem

Maria Grochowska z koleżankami

Maria Grochowska z koleżanką

Maria i Franciszek z babcią Jadwigą i synem Andrzejem

Państwo Grochowscy

Rodzice Franciszka z córką Janiną

chłopak około 17 lat. To był syn siostry starego Niemca, która zginęła w czasie wojny. „Niemka” która była z nim, miała pochodzenie polskie. Pochodziła z województwa warszawskiego. Wywieziono ją na roboty i tam poznała swojego Niemca i postanowiła z nim zostać. Chyba nie mieli ślubu, ale trzymali się razem i mieszkali tam. Mieli 2 kozy. Rozmawialiśmy z nimi, ponieważ ta kobieta – Maria dobrze znała polski. Przenieśliśmy się do tego domu. Mieszkaliśmy tam z nimi około półtora roku. Nie chcieli wyjeżdżać, mieli tu zostać. Byli starzy i nie myśleli o podróży. Nawet pisali pisma, czy mogą zostać w Olszanicy. Pozwolono im, ale chłopakowi nakazano wyjechać. Gdy pojawiła się możliwość wyprowadzki do Niemiec, to ze względu na niego, bo bardzo chciał wyjechać, oni także wyjechali.

Uczniowie Szkoły Podstawowej w Olszanicy - lata 50.

Wesele w Wałachówce

Pamiętam także innych dawnych mieszkańców Olszanicy. Mieszkał we wsi - tam, gdzie Lesiuk - szewc, co naprawiał buty. W domu Edwarda Rataja była taka Schwester, siostra Niemka, która jak ktoś zachorował, to nam pomagała. Pamiętam, że jak zachorowałam na ospę, to też chodziłam z mamą do niej. Leczyła ziołami to, co mogła. Jak było coś poważniejszego, to zabierano ludzi w inne miejsca. Był Niemiec, co naprawiał studnie. U Matli była zamontowana pompa, którą naprawił. Woda z pompy leciała do stajni, wlewała się do żłobów. W niektórych domach w kuchni były krany. Pamiętam jeszcze z dzieciństwa, że na wschód od numeru 89 stał stary dom. W środku były maszyny do szycia, chyba krawiec w nim mieszkał. Dom był w bardzo złym stanie i się zawalił. Naprzeciwko nas była piekarnia. Później, jak ludzie wiedzieli, że będą zostawać na stałe w Olszanicy, zaczęto ją rozbierać i pozyskiwać z niej materiał budowlany. Niedaleko naszego domu, obok wjazdu stał niemiecki samochód pancerny. Dookoła starej plebanii rosły róże, jaśminy. Był piękny ogród. Za kościołem rosły akacje, dęby, podobnie jak dziś. Wzdłuż drogi prowadzącej za kościołem były jabłonie i czereśnie. Gdy ludzie przyjechali, przypinali krowy w ogrodzie plebanii. Nie szanowali tego, bo to niemieckie było. Krowy łamały rośliny. Takie były czasy...

Pamiętam też taką dwójkę starych Niemców, co uczyli mnie niemieckiego, a ja ich polskiego. Nie byli agresywni, bo wiedzieli, że przegrali wojnę. Mama zawsze dawała im mleko od krowy, a oni dawali nam mleko od kozy. Nie chciałam wtedy pić tego mleka, nie byłam przyzwyczajona do jego smaku. Sowieci, przybywając do Olszanicy, zamordowali kilku niemieckich mieszkańców wsi. Pod niektórymi domami we wsi znajdują się ich groby. Wiele z nich jest już niewidocznych i zostało zlikwidowanych. Taki grób znajduje się także w pobliżu mojego domu, istnieje do dziś. Zawsze na Wszystkich Świętych zapalamy przy nim znicz. Pochowany jest tam dawny właściciel mojego domu, którego Sowieci rozstrzelali w naszej piwnicy. Podobno zrobili to zaraz po przyjściu do wsi, gdy dowiedzieli się, że mężczyzna zatrudniał Sowietów do pracy. Możliwe, że byli oni wywiezieni do Alzenau na roboty. Do dziś widzę zakrwawiony wojskowy ciemny szynel, leżący w piwnicy, który po nim pozostał.

Maria i Franciszek Grochowscy z synem

Maria i Franciszek Grochowscy

1952 R. - Franciszek Grochowski po prawej

Ludzie, gdy jechali szukać domów, to trzymali się razem, bo twierdzili, że jak będą wracać na Kresy, to też wrócą tam grupą, jaką przyjechali. Chcieli wrócić do swoich domów na Kresach, by obsiać pola na wiosnę. Ludzie po wojnie jeździli do siebie i odwiedzali się, bo znali się z jednej wsi. Byli jak jedna rodzina. Osoby, które pojechały do Lipinek, cieszyły się, że nie przekroczyły Odry i jakby mieli wracać do domu, to nie musiałyby rzeki przekraczać. Wtedy jeszcze mosty były wysadzone i był to duży problem. Gdy jechało się odwiedzić osoby z Lipinek, jechaliśmy najpierw do Głogowa, wysiadaliśmy tam z pociągu. Przekraczaliśmy Odrę przez prowizoryczny most, a następnie wsiadaliśmy w drugi pociąg i jechaliśmy dalej. W naszym odczuciu nie był to problem, by się odwiedzać. Ludzie pomagali sobie. Część osób, co było w Armii Andersa, wyjechała zaraz po wojnie do Kanady, inni - co byli na robotach w Niemczech znajdowali sobie gdzieś własną drogę i wyjeżdżali w świat, a jeszcze inni pojechali za chlebem.

Od lewej Franciszek Grochowski z kolegami z ZG Konrad przed pałacem w Grodźcu

Orkiestra w Olszanicy - lata 60.

Część 3. Powojenna Olszanica

Później zaczęła się szkoła. Była 4 klasowa. Ponieważ pierwszą klasę ukończyłam na Kresach, poszłam od razu do drugiej. Do klasy 4 i 5 chodziło się najpierw do Zagrodna. Nie wszyscy chcieli chodzić do szkoły. Nie da się ukryć, było trochę zacofanie. Później zrobiono w Olszanicy także klasę szóstą i siódmą. Pomieszczenia, w których uczyli się uczniowie, chyba przez rok były w domu numer 78. Po szkole poszłam do liceum pedagogicznego do Legnicy. Chodziłam tam tylko dwa lata. Potem żałowałam, że go nie skończyłam, a najbardziej żałował tego mój ojciec. W tym czasie rodzice musieli przystąpić do spółdzielni, a ktoś musiał pomagać w domu. Gdy rzuciłam szkołę, spotkał mnie mój mąż Franciszek, który wrócił wtedy z wojska. Pomagał w kościele, potem był kościelnym, a ja sprzątałam co sobotę z innymi dziewczętami kościół. Był 7 lat starszy ode mnie. Pochodził z sąsiedniej wioski obok Wałachówki – z Zarudzia. Tam spotykaliśmy się w kościele – jako dzieci. On służył tam do mszy – podobnie jak potem w Olszanicy. Moje koleżanki, jedna po drugiej wychodziły za mąż, miały 16-18 lat, a ja dopiero, gdy miałam 20. Nie narzekam, życie miałam dobre. Byliśmy zgodnym małżeństwem, przeżyliśmy razem 63,5 roku. Mamy troje dzieci: syna i dwie córki, sześcioro wnuków i dziewięcioro prawnuków.

Zaraz po wojnie nie działał kościół w Olszanicy. Na nabożeństwa chodziliśmy do Zagrodna przez pola, drogą na skróty. Był jeden ksiądz, który objeżdżał wszystkie wsie: Olszanicę, Wojciechów, Grodziec, ale nasze kościoły zwykle były zamknięte. Stała msza była jedynie w Zagrodnie. Często chodziliśmy na pieszo. Rowerów jeszcze wtedy nie mieliśmy.

Unikaliśmy Sowietów. Oni raczej nie robili nam problemów, o ile nie wchodziliśmy im w drogę. W okolicy była karczma u Łukasiewicza. Stały w niej asparagusy. Modne były na Kresach, to niektórzy przywieźli je tu. Były tam duże okna, więc miały odpowiednie miejsce do wzrostu. We wsi były dwa młyny. W domu numer 78 była pijalnia piwa i piekarnia po drugiej stronie budynku. Pijalnię zorganizował Władek, co wrócił z wojny. Był bez nogi i miał rentę wojenną. Dorabiał sobie w ten sposób. Do wsi do świetlicy raz na miesiąc przyjeżdżało kino. Olszanica tętniła życiem, a gdy otworzył się „Konrad”, to już w ogóle luksus był. Mój mąż pracował tam, początkowo parę lat w rachunkowości w biurze, a potem jeździł elektrowozem na dole. Ja nie pracowałam zawodowo, tylko rok w sklepie. Zajmowałam się dziećmi i pracowałam w gospodarstwie.

W wolnym czasie chodziliśmy na zamek i do pałacu w Grodźcu. Na początku przez pola, bo nie wiedzieliśmy, że tam jest droga. Niestety, łazienki w pałacu były już zdewastowane, zniszczona armatura, powyrywane krany, z pomieszczeń wyniesione zostały meble. Ale pięknie tam jeszcze było. Zapamiętałam, że w środku stało piękne duże lustro pod sam sufit, w sali na górze z balkonem i malowidłami. Po budynku walały się resztki mebli. Wszystko było rozszabrowane. Ruscy zaczęli, a po nich weszli Polacy i też zrobili swoje. W pobliżu był piękny ogród różany i fioletowy rododendron w parku. W tym parku organizowano dożynki. Później chodziliśmy tam z wycieczkami ze szkoły. Zamek pamiętam już spalony. Gdy młodzież się nudziła, to się zbierała i odwiedzała Grodziec. Potańcówki były w pałacu. Sikora grywał na harmonii. W każdą sobotę odbywała się zabawa. Organizowały je szkoła, później koło gospodyń. Było wesoło. Koło gospodyń także organizowało kursy szycia, gotowania, chodziłam na nie. W Olszanicy był zespół ludowy i orkiestra. Niestety na zespół nie miałam już czasu, bo trzeba było ciężko pracować w gospodarstwie. Nie myślałam, że dożyję tych lat. 88 lat, Boże kochany! Z Wałachówki w Olszanicy są jeszcze 4 osoby. Do niedawna była nas piątka. Mało kto już coś pamięta. Często byliśmy za młodzi, by zapamiętać. Kiedyś było nas dużo więcej, ale część wyjechała, inni poumierali. Czas mija, a nas jest coraz mniej...

Wspomnienia pani Marii ukazały się na Facebooku na stronie „Kroniki Alzenau – zapomniane dzieje Olszanicy”. Zostały uzupełnione przeze mnie w rozmowie z nią.

Wioleta Michalczyk

Archiwum rodzinne

Wszystkie drogi prowadzą do Kwiatowa

W latach 2009-2010 na łamach miesięcznika Echo Złotoryi ukazał się cykl artykułów, którego autorami byli mieszkańcy naszej gminy. Celem tego projektu było zaprezentowanie poszczególnych miejscowości, ukazanie realiów życia na tych ziemiach od powojnia aż do dzisiaj. Tak powstał zbiór bardzo cennych zapisów. Cennych, bo opartych na wiedzy i pamięci mieszkańców. Zarówno tych, którzy po wojnie zasiedlali tereny złotoryjskiej ziemi, jak i tych, którzy już tu przyszli na świat. Bogate opisy tamtych czasów, niesamowite, często rodzinne historie, liczne fotografie z prywatnych zbiorów złożyły się na wręcz unikatowy dokument.

Tekst, którego byłam współautorką ukazał się w grudniu 2009 roku i przedstawiał Kwiatów – miejsce mojego urodzenia, mojego dzieciństwa i młodości. Wszelkie informacje, opisy zdarzeń, nazwiska i daty, które zawarłam w swojej pracy pochodziły głównie od mojej Mamy – Julii Szczutek. Z jej opowiadań i wręcz fenomenalnej pamięci starałam się odtworzyć obraz życia w ówczesnym Kwiatowie. Opisując losy kwiatowskiego folwarku wymieniłam nazwisko pierwszego powojennego dyrektora gospodarstwa Pana Mariusza Goltza.

Mariusz Goltz przyjechał do Kwiatowa w 1948 roku z żoną Stefanią i dwuletnią córeczką Ireną. Kwiatów był jednym z pięciu gospodarstw, którymi zarządzał. Jednak życie rodzinne Państwa Goltzów toczyło się w Kwiatowie. W marcu 1953 roku Pan Mariusz zmarł a pod koniec maja urodziła się druga córeczka Ewa.

Kiedy w 2008 roku przystępowałam do tego projektu nie przypuszczałam, że czternaście lat później nastąpi dalszy ciąg tej historii. W internetowym archiwum Echa Złotoryi mój artykuł odnalazł Antoni Goltz – wnuk Mariusza i Stefanii, syn Ewy. Antoni, urodzony i wychowany w Wielkiej Brytanii, pracował wówczas w Warszawie, gdzie zbudował i prowadził z dużym powodzeniem szkołę językową. Zainspirowany moim artykułem i wzmianką o swoim dziadku postanowił przyjechać do Kwiatowa. Nie spotkaliśmy się wówczas, jednak treść artykułu przesłał swojej cioci Irenie mieszkającej od pięćdziesięciu lat w Australii.

W zeszłorocznym, kwietniowym numerze Echa Złotoryi ukazał się list od Pani Ireny Goltz, która za pośrednictwem redakcji prosiła o kontakt ze mną lub innym osobami, które mogłyby pamiętać jej rodzinę. Pani Irena prosiła o pomoc w konkretnej sprawie, poszukiwała informacji o miejscu urodzenia swojej siostry, która w akcie urodzenia ma wpisane Warszawa, jednak nie jest to prawdą. Irena, chcąc zrobić niespodziankę siostrze, w tajemnicy rozpoczęła swoje „śledztwo". Napisała wiele listów do okolicznych szpitali, do Kościołów i oczywiście ten jeden do redakcji Echa Złotoryi. Jak mi później wyznała nie miała wielkiej nadziei, że ktokolwiek się odezwie, że po siedemdziesięciu latach znajdzie się jeszcze ktoś, kto pamięta i zna jej rodzinę. A jednak.

Jeszcze tego samego dnia odpisałam Pani Irenie i zapewniłam o chęci pomocy. Tak rozpoczęła się nasza piękna znajomość. Zanim doszło do naszego spotkania, ponad trzy miesiące trwała mailowa korespondencja. Wymieniałyśmy się cennymi informacjami i fotografiami. Pod koniec maja Irena wraz z mężem Maciejem Ciołkiem przylecieli do Londynu na 70-te urodziny Ewy. Część dwumiesięcznego pobytu w Europie spędzili w Polsce odwiedzając rodzinę, znajomych i bliskie ich sercom miejsca. Zapragnęli również odwiedzić Kwiatów i spotkać się z nami, szczególnie z moją Mamą, która doskonale pamiętała Panią Stefanię Goltz.

W połowie lipca mieliśmy ogromną przyjemność gościć w naszym domu w Lubiatowie Panią Irenę, jej męża Macieja oraz Panią Ewę Webb. Były to bardzo krótkie odwiedziny i nie zdołaliśmy naszym drogim gościom pokazać tych wszystkich miejsc, które wcześniej zaplanowaliśmy. Pragnęłam, aby to wydarzenie miało rodzinny charakter. Jestem bardzo wdzięczna mojej siostrze Ewie oraz moim dzieciom Konradowi i Klaudii, że mogłam na nich liczyć.

Pierwszym i niemal najważniejszym punktem programu był oczywiście Kwiatów, gdzie czekała na nas moja Mama Julia - koleżanka Ireny z lat dzieciństwa. Spotkały się po raz pierwszy po siedemdziesięciu latach. Przywitanie było niezwykle wzruszające i radosne. Ukradkiem ocieraliśmy łezki. Umówieni byliśmy również z Panią Małgosią Garus, właścicielką folwarku. Dzięki jej uprzejmości mogliśmy wejść do pałacu i zwiedzić każdy jego zakątek. Chodziliśmy po pałacu a naszą przewodniczką była Irena. Zdawało się, że wręcz ,,płynęła'' po pokojach i wskazywała, gdzie był gabinet ojca, gdzie znajdowała się sypialnia rodziców,gdzie mieścił się jej pokój, w którym miejscu stało łóżeczko Ewuni. To było coś fantastycznego móc uczestniczyć w tym wydarzeniu. Dotknąć czegoś wręcz nienamacalnego, jakby znaleźć się na chwilę w tamtym świecie. Chociaż znałam te miejsca od zawsze, tego dnia spojrzałam na nie oczami kilkuletniej Irenki. To było cudowne doświadczenie, jakby poza czasem. Nawet schowek pod schodami wejściowymi do pałacu, o którym ja nie miałam pojęcia, Irena wskazała bezbłędnie. W tym schowku ukryty był pierwszy rower Ireny, prezent gwiazdkowy od rodziców.

Wieczorem, po kolacji, nieco zmęczeni ale zachwyceni mijającym dniem, oddaliśmy się wspomnieniom. Moja Mama wspominała Panią Stefanię, Mamę Ireny i Ewy, dzięki której otrzymała pracę w biurze kwiatowskiego gospodarstwa. Pani Stefania z ogromną życzliwością i cierpliwością uczyła ją podstaw księgowości, maszynopisania i posługiwania się liczydłem. To była pierwsza i jedyna praca mojej Mamy. Wykonywała ją niemal czterdzieści lat w jednej firmie ,aż do emerytury. Wielką zagadką, której pewnie już nigdy nie rozwiążemy, jest to, w jaki sposób Pani Stefania zwróciła swoją uwagę na młodziutką wówczas Julię. Czy był ktoś jeszcze, kto wstawił się za nią? Czy była to samodzielna decyzja Pani Stefanii? Faktem jest to, że przyszła do mojej Babci i zaproponowała, że będzie przyuczać Julię do pracy biurowej. Pani Stefania zapewne dobrze znała życie mieszkańców Kwiatowa. Wielu z nich pracowało w folwarku, znała ich osobiście .Wiedziała z jakimi trudnościami borykają się na co dzień. Praca w biurze była dla Julii niczym dar z nieba, za który wdzięczna jest do dzisiaj. Tego wieczoru Irena z Julią wspominały również inne osoby.

Na szczególną uwagę zasługuje historia, którą obie zapamiętały i opowiadały, każda z własnej perspektywy. To historia o rymarzu Nikodemie. Irena zapamiętała go jako szewca, który na pałacowym strychu miał swój warsztat. Julia natomiast znała go jako rymarza z budynku naprzeciwko pałacu. Obie historie miały wspólny mianownik. Otóż Pan Nikodem był chorobliwie zazdrosny o swoją partnerkę. Do tego stopnia, że ukrywał ją przed całym światem. Jedzenie dostarczał jej koszykiem wciąganym przez okno na poddaszu. Nie wolno jej było korzystać ze wspólnej toalety, która znajdowała się w oficynie. A na czas przejażdżki rowerowej musiała chustą zakrywać twarz. Stąd Pan rymarz - szewc uchodził we wsi za dziwaka a wśród tutejszych dzieci budził strach. Okazało się, że obie miały rację. Wyjaśniło się, że wcześniej Pan Niko-

Irena z Ewą

Schowek pod schodami

Wspomnienia ireny

Wspomnienia Julii

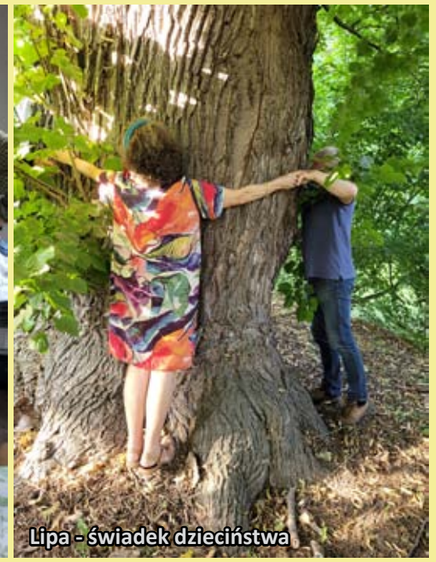

Lipa - świadek dzieciństwa

dem pracował w pałacu i pewnie, oprócz napraw rymarskich, zajmował się również reperacją obuwia. Od czerwca 1953 roku jego zakład przeniesiono do budynku naprzeciwko, czego dowody, w postaci napisów na drzwiach, zachowały się do dzisiaj.

Moja Mama pamiętała z tamtych czasów również Stasia Wróblewskiego, który również mieszkał w pałacu. Nie wiedziała jednak kim był ten chłopiec dla Państwa Goltz. Okazało się,że Staś był kuzynem Ireny i Ewy. Mieszkał w Kwiatowie i uczęszczał do szkoły w Lubiatowie. Mama wspominała pierwszą miłość Stasia - Lidkę. Niestety ich drogi się rozeszły. Jeszcze po wielu latach, podczas odwiedzin w Lubiatowie, Lidka wypytywała o Stasia.

Irena z mamą Stefanią i siostrą Ewunią

Tego wieczoru oglądaliśmy stare fotografie z Kwiatowa, które Irena przywiozła ze sobą. Coś wspaniałego. Piękne konie, powozy, mnóstwo zieleni, pełne szklarnie w przypałacowym ogrodnictwie i tętniący życiem folwark. Takiego Kwiatowa nie znałam.

Dawny Kwiatów

1953 - stara szkoła

Następnego dnia gościliśmy w siedzibie Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej ,gdzie spotkaliśmy się z Burmistrzem Złotoryi Panem Robertem Pawłowskim, z Redaktor Naczelną Echa Złotoryi Panią Iwoną Pawłowską, z Prezesem TMZZ Panią Kazimierą Tuchowską oraz innymi paniami redaktorkami z Echa Złotoryi. Mogliśmy u źródeł zasięgnąć wiedzy o działalności TMZZ i miesięcznika Echo Złotoryi. Wspaniale słuchało się wykładu Pani Prezes TMZZ. Irenie bardzo zależało na tym spotkaniu, chciała osobiście podziękować Pani Redaktor Naczelnej za zamieszczenie jej listu na stronach gazety. Byliśmy niezmiernie wdzięczni za to spotkanie.

Jako, że Ewa przyjęła ostatecznie, iż miejscem jej urodzenia jest Złotoryja, chcieliśmy naszym gościom pokazać kilka miejsc nierozerwalnie związanych z tym miastem. Dłuższą chwilę spędziliśmy w Muzeum Złota, później spacer główną ulicą w kierunku baszty, zakup pamiątek i trochę pamiątkowych zdjęć. Krótka przerwa na odpoczynek, dobrą kawę w urokliwej kawiarence w Rynku i dalej w drogę. Na chwilę podjechaliśmy pod stary szpital, w którym najprawdopodobniej Ewa przyszła na świat. Obecnie to Wojewódzki Szpital Psychiatryczny przy ulicy Szpitalnej. Następnie zajechaliśmy do Grodźca. Tu, oprócz zwiedzania zamku, mogliśmy skosztować i zakupić wina z lokalnych winnic. Czas nas gonił, mieliśmy zarezerwowaną obiadokolację w Dobkowie. Pomysł, żeby odwiedzić Galerię Anioła u Pani Bogusi Rudnickiej zrodził się spontanicznie. Byliśmy zafascynowani klimatem tego miejsca, pięknymi aniołami i opowieściami Pani Bogusi. Widziałam, że nasi goście byli pod wielkim wrażeniem.

Do Lubiatowa wróciliśmy późnym wieczorem. Upał tego dnia dał się wszystkim we znaki. Chociaż mocno zmęczeni znowu zasiedliśmy do wspomnień.

Niedziela była dniem wyjazdu naszych wspaniałych gości. Rano byliśmy na mszy w lubiatowskim kościele. To miejsce Irena również doskonale pamięta. To tu, naprzeciwko kościoła, po drugiej stronie ulicy mieściła się niegdyś szkoła podstawowa, do której uczęszczała. Z tą szkołą, a konkretnie z jednym zdjęciem wiąże się równie ciekawa historia. Otóż, podczas naszej mailowej korespondencji Irena, dowiedziawszy się, że mieszkam w Lubiatowie, przysłała mi zdjęcie. Serce zabiło mi mocniej, gdyż doskonale znałam tę fotografię. Taką samą mam w swoich zbiorach. Zdjęcie przedstawia grupkę młodzieży w galowych strojach, w środku nauczycielka Pani Julia Gałczyńska z koszem kwiatów a moja Mama z Ireną stoją obok siebie. To niesamowite, że na dwóch krańcach świata, tysiące kilometrów od siebie są dwie identyczne fotografie. Że przechowywane są z taką czcią i pieczołowitością. I to, że po latach można je było połączyć.

Po mszy świętej Irena poprosiła o krótkie spotkanie z księdzem proboszczem Tadeuszem Tymkowem. Ksiądz również był częścią pięknej tej historii, także do niego Irena pisała i dzwoniła poszukując informacji o Ewie.

Czas naszego rozstania zbliżał się nieubłaganie. W niedzielne popołudnie pożegnaliśmy naszych wspaniałych gości i przyrzekliśmy sobie, że będziemy w stałym kontakcie. Nasza niezwykła znajomość trwa i stale się umacnia. Zawiązały się nowe międzypokoleniowe relacje. We wrześniu odwiedził nas Anthony Goltz, syn Ewy. W dalekiej Australii Irena z Maciejem spotkali i poznali moją bratanicę Julię, która od pięciu lat mieszka w Sydney. Natomiast w Londynie druga bratanica Marta nawiązała znajomość z Ewą i Jej rodziną. Bardzo się cieszę, że zyskaliśmy serdecznych, ciepłych i niezwykle otwartych PRZYJACÓŁ.

Maria Tymczyszyn

Na Wilczej Górze

Spotkanie w TMZZ

Zakład rymarski w Kwiatowie

Z urodzenia złotoryjanie

W Muzeum Złota

W Galerii Anioła w Dobkowie

Z Antonim (w środku) w Kwiatowie

Irena z moją bratanicą Julią w Melbourne

Bratanica Marta z Ewą w Londynie

Dobrze zainwestowane 1,5% Twojego podatku

37

1987-2024

Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej
59-500 Złotoryja, ul. Szkolna 1
KRS 0000124632

- Koło Kresowian
- Klub Kolekcjonera
- Echo Złotoryi
- Biblioteczka Miłośników Ziemi Złotoryjskiej
- Ośrodek Dokumentowania i Opracowywania Dziejów Ziemi Złotoryjskiej
- Księgarnia Internetowa
- Rajdy i Szlaki św. Jadwigi oraz św. Jakuba

ECHO ZŁOTORYI

GALERIA SPONSORÓW

Powiatowy Bank Spółdzielczy w Złotoryi
Grupa BPS

BAZALT®

1686 PAŁAC KROTOSZYCE

LASY PAŃSTWOWE
NADLEŚNICTWO ZŁOTORYJA

Lena
Wilków Spółka z o.o.
PRODUCENT
konstrukcji stalowych
aparatury i urządzeń technologicznych
w tym dla ochrony środowiska
tymczasowych stacji paliw
elementów złącznych hydrauliki siłowej
sprzetu transportowego dla górnictwa
www.lena.com.pl
lenawilkow@lena.com.pl
tel.+48 768783 480, fax +48 76 8783 212

VITBIS
szklane bombki choinkowe

POAR
Złotoryja

grysy bazaltowe
STONESPOL
* płukanki
* kolorowe
* posypki
* mączki
PRZEDSIĘBIORSTWO PRODUKCYJNO-USŁUGOWE STONESPOL
ul. Złota 1, 59-500 Złotoryja, Polska, tel./fax (+48 76) 87 84 023

Wydawca: Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej
Adres redakcji: 59-500 Złotoryja, ul. Szkolna 1 („Bacalarus"), www.tmzz.pl, e-mail: echozlotoryi@tmzz.pl

Redakcja: Bogusław Cetera (dystrybucja), Beata Jańta (korekta), Jarosław Jańta, Marta Klonowska-Procków (korekta), Przemysław Markiewicz, Wioleta Michalczyk, Agnieszka Młyńczak, Iwona Pawłowska (redaktor naczelna), Tomasz Szymaniak, Andrzej Wojciechowski.
Zdjęcie na okładce: Iwona Pawłowska - Plac 800-lecia w Złotoryit.

ECHO ZŁOTORYI

Echo Złotoryi jest laureatem Dolnośląskiego Klucza Sukcesu za 2013 rok